

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. ... TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 4 sierpnia 1906 r. Nr. 31.

Zabójstwo podpułkownika żandarmeryi w Warszawie.

(Treść na stronie 2.)



Zabójstwo podpułkownika żandarmeryi w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Dnia 25 lipca w Warszawie, o godzinie w pół do dwunastej przed południem. na ulicy Mokotowskiej, między Koszykową a Chopina, do przechodzącego pomocnika naczelnika zarządu żandarmeryi gubernii warszawskiej, podpułkownika Sałamatowa, podeszło dwóch nieznanych ludzi, z których jeden pchnięciem sztyletu w bok powalił Sałamatowa na bruk.



Tragiczny skon poety-laureata: Ś. p. Józefat Nowiński, literat, poeta i publicysta, zmarły tragicznie dnia 20 bm. w Warszawie.

Po dokonaniu tego obaj nieznajomi wsiedli do stojącej na rogu ulicy Koszykowej dorożki, która powiozła ich w stronę ulicy Leopoldyny.

Do śmiertelnie ranionego podpułkownika Sałamatowa podbiegł jeden ze stróżów sąsiedniego domu i zaalarmował o wypadku policyę.

Sałamatowa wsadzono do dorożki i odwieziono do szpitala Ujazdowskiego, gdzie niebawem zmarł, sztylet bowiem ugodził go w serce.

Zabity podpułkownik Sałamatow mieszkał w domu Nr. 13, przy ulicy Koszykowej, skąd właśnie wychodził na służbę

W kilkanaście minut po dokonaniu zamachu, na miejscu zjawiła się policya, żandarmerya i oddział ułanów, którzy otoczyli kilka domów przy ulicy Mokotowskiej i dokonali rewizyi piwnic, strychów i niektórych mieszkań.

Nikogo jednak nie aresztowano i nic podejrzanego nie znaleziono.

Tragiczny skon poety-laureata.

Dnia 20 b. m. w ogrodzie Botanicznym, w Warszawie odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru młody literat, śp. Józefat Nowiński. Ze względu na niezwykłe okoliczności i pobudki, które młodego i obiecującego człowieka popchnęły do targnięcia się na własne życie — wypadek ten obudził duży żal i szczere współczucie dla rodziny ofiary.

Ś. p. Nowiński przyszedł do ogrodu Botanicznego o g. 7 i pół rano. N. trzymał w ręce kawałek papieru, na którym notował nazwy drzew i krzewów, chodził między klombami, stał przez czas pewien nad sadzawką, poczem wyszedł w Aleje Ujazdowskie. Widziano go, jak o godzinie 8 i pół wrócił do ogrodu, posiedział chwilę na ławce pod orzechami, gdzie czytał dziennik. Następnie zszedł na dół.

W kwadrans potem dano znać starszemu ogrodnikowi, że przy kapliczce będącej pamiątką Trzeciego Maja, zastrzelił się jakiś mężczyzna.

Gdy pośpieszono na miejsce wypadku, ujrzano N. opartego o mury kapliczki w postawie na pół leżącej; obok stała laska, oparta o mur, nieco dalej leżał kapelusz. N. przestrzelił sobie skroń. Po przybyciu policyi zaczęto sprawdzać dowody. W kieszeni surduta znajdowało się kilka listów i dwa bileciki, zaadresowane do rodziny i do Kasy Literackiej. W kieszeni kamizelki znaleziono 26 kop. Zwłoki przeniesiono do prosektoryum.

* * *

Zgon ten jest nawet w tych strasznych czasach, jakie przeżywamy, tragedyą wyjątkową. „Umieram zdrów i silny — pisze ś. p. Nowiński w liście do jednego z redaktorów, datowanym w dzień zgonu. — Nie mam żadnej choroby chronicznej. Do ostatnich dni pracowałem żywo, jako nauczyciel, a książka, którą przed paru dniami do druku podpisałem, niech świadczy, żem nie utracił zdolności do pracy literackiej. Pozycya moja materyalna polepszyła się znakomicie: długi zmniejszyły się (nigdy zresztą żadnego protestu nie zaznałem), a tajny dotąd pedagog otrzymał pozwolenie urzędowe na wykład w szkołach prywatnych. Już otrzymane propozycye pedagogiczne i literackie jak nigdy dotąd byt mi zapewniły“. W liście tym przeznaczonym do druku, ś. p. Nowiński jak najsilniej podkreśla tę okoliczność, że przyczyny samobójstwa nie należy szukać w nim samym, w jego życiu osobistem, lecz w warunkach ogólnych, w tych tragicznych wstrząśnieniach, jakim podlega obecnie nasze życie narodowe.

* * *

Jednocześnie z listem powyższym ś. p. Nowiński nadesłał „artykuł“ (jak sam pisze w cudzysłowie) tłómaczący samobójstwo. W gorących, podniosłych słowach spowiada się autor w tym poważnym dokumencie naszych czasów z uczuć, jakie szarpały jego sercem, zanim kula rewolwerowa przecięła pasmo życia.



Gentaro Kodama, zmarły świeżo w Japonii szef sztabu generalnego, jeden z największych strategików współczesnego świata, właściwy kierownik zwycięzkiej kampanii japońskiej przeciw Rosyi.

(Do artykułu na stronie 12).

* * *

Ś. p. Józefat Nowiński, urodził się 26 listopada 1863 r. we wsi Hardijówc, pow. lipowieckiego, gub. kijowskiej. Pierwsze wiersze jego drukowały „Kłosy“ w r. 1888. W roku następnym wszedł do



Pożar w Zakopanem: Góral Józef Gąsienica na zgliszczach swego domu, jednego ze starszych budynków zakopiańskich, który spłonął przed tygodniem. (Do art. na str. 14).



Ofiara Zawratu: Dr. Dobrowolski, znany lekarz z Warszawy (w bandażach) na ganku szpitala w Zakopanem, po nieszczęśliwym wypadku, w którym omal życia nie stracił, spadłszy z przełęczy Zawratu w przepaść; obok rannego stoi brat, inżynier z Warszawy, wezwany do Zakopanego telegraficznie po katastrofie.

(Do artykułu na stronie 9).

„Ateneum“, którego był współpracownikiem. W działach — beletrystycznym i krytycznym pozostał aż do zamknięcia tego pisma. Był współpracownikiem „Życia“ i „Głosu“. Wydał zbiór nowel p. t. „Świekra“ (1806); poemat dramatyczny p. t. „Biała gołąbka“ (1891, odznaczony na konkursie nagrodą); powieści: „Życie i marzenie“ (1901); studyum literackie pt. „Sienkiewicz“ (1902); tegoż roku studyum p. t. „Stanisław Przybyszewski“.



Smierć z zatrucia się rybą: Dzielny przemysłowiec ś. p. Leopold Lityński, kierownik Filharmonii lwowskiej.

Śmierć z zatrucia się rybą.

W sobotę ubiegłego tygodnia zakończył życie w Kosowie młody, pełen sił i energii przemysłowiec ze Lwowa, Leopold Lityński.

Przyczyną śmierci było zatrucie się rybą w Zabłotowie pod Kołomyją. Ciężko chorego przywieziono do Kosowa, dokąd zawezwano rodzinę, oraz lekarzy dra Obtułowicza i dra Renckiego ze Lwowa, a operatora dra Krasowskiego ze Stanisławowa. Pomoc lekarska jednak na nic się już nie zdała, Lityński umarł tego samego dnia.

Z zawodu farmaceuta, utrzymywał przed kilkunastu laty przy ulicy Lindego we Lwowie skromny zakład kefiru i artykułów drogueryalnych; ponadto trudnił się wyrobem mleka sterylizowanego. Po paru latach interes swój rozszerzył i przeniósł do wspaniałego sklepu w „Grand Hotelu“. Zapobiegliwą pracą i wrodzonemi zdolnościami skromny swój kapitał zakładowy powiększył i wówczas rzucił go w większe przedsiębiorstwo. Zakupił więc od Galicyjskiej Kasy Oszczędności, po pamiętnym jej runie, kopalnie węgla w Dżurowie i znacznie je rozszerzył, następnie zaś zawiązał spółkę i wydzierżawił na lat 50 gmach Skarbkowski. Po rozbiciu się Filharmonii, założonej przez dyr. Hellera, urządzał w sali gmachu Skarbkowskiego koncerta, które w ciągu ostatnich dwu lat wielkiem cieszyły się powodzeniem.

Ś. p. Lityński występował również jako publicysta Wydał mianowicie po pierwszym zjeździe przemysłowym w Krakowie 1901 r., jeszcze przed powstaniem w Galicyi zawodowych organizacyj przemysłowych, książkę p. t.: „Odrodzenie ekonomiczne Galicyi“.

Ś. p. Lityński pozostawił w gronie osób, które go bliżej znały, szczery żal, był to bowiem człowiek ogromnie energiczny i bardzo pracowity, pełen inicyatwy i zapału, należał wogóle do rzadkich w naszem społeczeństwie indywidualności, które stwarzają nowe wartości i stosują nowe drogi. Na zachodzie Europy, gdzie takich ludzi jest dużo, przecież cenią ich bardzo wysoko. Cóż dopiero u nas, gdzie taki człowiek jest niesłychaną rzadkością. Myśmy przywykli iść w życiu utartą drogą, więc też strata człowieka, który wyrębywał sam sobie ścieżki nowe, nieznane przed tem, jest dla całego społeczeństwa bardzo bolesną.

Cześć jego pamięci!

Rocznica bitwy pod Lissą.

Austryacka marynarka wojskowa obchodziła teraz czterdziestą rocznicę walnej bitwy morskiej pod wyspą Lissą, w Dalmacyi, zakończonej świetnem zwycięstwem nad flotą włoską, pod dowództwem admirała Persano. Flota austryacka była liczebnie mniejszą od nieprzyjacielskiej, która posiadała nadto prawie same pancerniki, gdy tymczasem Austryacy mogli wystawić do boju zaledwie dwa pancerniki, inne zaś okręty były drewniane starego typu. Mimo tego ówczesny komendant floty austryackiej, kontr-admirał Wilhelm bar. Tegetthoff, rozkazał dla większego ubezpieczenia opasać drewniane okręty żelaznymi łańcuchami i po wydaniu odpowiednich dyspozycyj w dniu 20 lipca 1866 śmiało natarł na nieprzyjaciela. Zawrzała zacięta bitwa, gdy niespodzianie celny strzał artylerzysty austryackiego w prochownię, wysadził w powietrze włoski okręt admiralski „Re d'Italia“ wraz z całą załogą. Admirał Persano poprzedzającego dnia przeniósł się na inny okręt, uniknął więc niechybnej śmierci. W ślad za tym wypadkiem okręt austryacki, zostający pod komendą kapitana okrętu liniowego bar. Sternecka (późniejszego naczelnego admirała), uderzył z całym impetem dzióbem okrętu w bok nieprzyjacielskiego pancernika „Affondatore“, który w jednej chwili pogrążył się z całą załogą w głębinach morskich. Nieprzyjaciel, doznawszy prócz tego wiele innych większych lub mniejszych uszkodzeń w okrętach, cofnął się na pełne morze i zawinął do portu w Ankonie, nie ścigany przez zwycięzców. Za bohaterski czyn został Tegetthoff przez cesarza mianowany telegraficznie wiceadmirałem. Sterneck otrzymał order Leopolda, inni komendanci odznaczenia. Z uczestników pamiętnej bitwy, która otoczyła sławą austryacką marynarkę wojskową, pozostaje jeszcze w czynnej służbie jedynie tylko hr. Montecuccoli, obecny naczelny admirał marynarki; znaczna zaś część albo już wymarła, albo też żyje na emeryturze. Do rzędu tych ostatnich należy emerytowany kapitan okrętu liniowego (pułkownik) p. Artur Müldner w Krakowie, który w bitwie pod Lissą był na okręcie liniowym „Kaiser“, poprzednio zaś w dniu 8 maja 1864 brał udział w potyczce morskiej pod Helgolandem przeciw Duńczykom na fregacie „Schwarzenberg“.



Rocznica bitwy pod Lissą: Emerytowany kapitan okrętu liniowego „Kaiser“ pułkownik Artur Müldner, żyjący dotąd w Krakowie, uczestnik zwycięstwa floty austryackiej nad włoską w walnej bitwie morskiej pod wyspą Lissą.



Fotografia zakładu Br. Mieszkowskiego w Warszawie.

Pierwsi maturzyści gimnazyum polskiego generała Chrzanowskiego w Warszawie.

OFIARY WAMPIRÓW.

19 **Romans z życia przez Gr-ego.**

Ciąg dalszy.

U stóp ukochanej żony złożyłem skarby przyniesione, ale widziałem, że cieszyła się Nadina moim powrotem bardziej, niż owym odzyskanym swoim posagiem panieńskim.

Żegota Reman nazajutrz wyniósł się z naszego sąsiedztwa, żeby coprędzej dostać się do najbliższego portu i odpłynąć z powrotem do ojczyzny i dzieci swoich, wioząc im bogactwa wielkie Przed odjazdem swoim dziękował mnie i żonie mojej bez końca, ale Nadina widząc wielką jego radość z powodu zdobycia za naszemi wskazówkami skarbów, szepnęła mi, że boi się, czy ten człowiek dojedzie do kraju ze swemi dyamentami, tak już bowiem wyraźne zauważyła u niego zarodki ciężkiej choroby.

Ale wkrótce po pożegnaniu Żegoty Remana, ja sam zapadłem w domu na ciężką febrę żółtą.

Rychło po mnie rozchorowały się i obie córeczki nasze. Febra żółta w groźnym stopniu.

Żona moja używała wszelkich znanych jej z ojczyzny sposobów, byle zapobiedz wybuchowi zarazy. Potem znów stosowała wszelkie możliwe środki lecznicze, stanowiące sekret lekarzy jej plemienia — byle z rąk śmierci ocalić nas troje chorych.

Ale choroba trwała długo i srożyła się wielce.

Wreszcie wyzdrowiałem ja pierwszy, potem córka moja młodsza, Laura. Ale śmierć nieubłagana zabrała mi starszą Norę.

Niestety, zaledwie dźwignąłem się z łóżka, gdy zapadła na tę samą chorobę i żona moja Nadina. Jej nie zdołałem już ocalić. W krótkim czasie umarła mi na moich rękach i tam, pośrodku mojej ówczesnej plantacyi, pogrzebałem w rozpaczy swoją ukochaną towarzyszkę życia obok córki starszej...

Było to jak gdyby przekleństwo za ową żądzę bogactwa, której dałem się porwać.

Mógłbym rzec, że krwią własną kupiłem sobie te wielkie skarby, gdyż istotnie od owego czasu mnie i mojemu jedynemu dziecku brak właśnie tego — bez czego człowiek żyć nie może i czego już nie potrafi kupić sobie w życiu za miliony!...

— — — — — — — — — — —

Ze szczerem współczuciem wysłuchała Wanda opowiadania Czerskiego. Ona sama przecierpiała świeżo tak wiele, że mogła zrozumieć i odczuć jego cierpienia.

Następnie zaczęli zastanawiać się nad tem, co im począć teraz wypada.

Książę wyznał Wandzie, że dr Wrzesiński, przyjaciel jej męża, chcąc ratować Jana, tak sprawą pokierował, iż dr Anielski uchodzi za waryata. Objaśnił ją co do tego, że mąż chciał przyjąć na siebie całą winę, byle w ten sposób natychmiast ocalić Marylkę.

Gdyby nie krok dra Wrzesińskiego, byłaby sprawa Jana wzięła bardzo zły obrót.

— Ale muszę pani dodać, że w więzieniu pilnują męża pani jeszcze ostrzej, aniżeli zwykłego więźnia, ponieważ są w ciągłej obawie o to, by nie wpadł w furyę...

Książę Czerski pracował nad rychłem spotkaniem się Wandy z jej mężem nie tylko z ludzkich względów współczucia: on miał w tem przedewszystkiem własny interes osobisty...

Czerskiemu zależało na tem przedewszystkiem, żeby policya upewniła się co do jego niewinności, a wówczas mógłby on swobodnie szukać córki.

Tu leżały główne pobudki, dla których zawarł książę poniekąd przymierze z hrabianką Wandą.

Wkrótce po ich przybyciu do Warszawy, zostawił ją w hotelu samą, zapewniając, że w ciągu kilku godzin powróci do niej już w towarzystwie jej męża.

Ale żadne z nich nie przeczuwało naówczas, iż nie prędko będą mogli się zobaczyć znowu i że wszelkie ich nadzieje zniweczy naraz jedna chwila niespodzianki.

Tragedya w pociągu.

Pociąg kolei żelaznej pędził całą siłą pary. Z przed okien wagonów wszelkie widoki znikały jak w kalejdoskopie.

-- Mieczku, co to za rozkosz dla mnie, nie masz nawet pojęcia... tak pędzić koleją w świat — odezwała się Tola, siedząc przy oknie przedziału drugiej klasy i patrząc przez szybę na umykające ciągle w bok krajobrazy...

— Więc lubisz podróże — odparł jej Mieczysław hrabia Rożniewski.

Jechali sam na sam w przedziale, co chwila jednak dolatywały ich uszu jakieś podniesione głosy, brzmiące nawet chwilami groźnie.

— Skąd słychać te kłótnie — zagadnęła swego towarzysza Tola.

— Ja się sam nie mogę w tem zoryentować — odparł hrabia — przecież w tym wagonie niema trzeciej klasy.

I znowu, jak kilka razy przedtem, wyszedł pan Mieczysław na korytarz, potem wreszcie wyjrzał na balkon. dokąd z ich miejsc w wagonie było zaledwie kilka kroków.

Teraz właśnie rozległ się krzyk kobiecy, przypominający raczej płacz małej dziewczynki, może dziecka.

Tola zerwała się z siedzenia i podążyła za Rożniewskim na pomost.

— Dajże pokój... nie wychodź tutaj podczas biegu pociągu... prąd powietrza jest tak silny... to poprostu niebezpiecznie — perswadował jej młody hrabia troskliwie, starając się nakłonić ją do powrotu do wnętrza przedziału.

— Ależ tu należałoby interweniować... nie można przecież pozwolić, żeby ci niemiłosierni ludzie znęcali się tak strasznie nad dzieckiem — oburzała się Tola, słysząc, co się dzieje opodal — mój Mieciu, czy to w tym następnym wozie?...

— Tak jest, nigdzie indziej.. tam już zaczyna się trzecia klasa. To stamtąd właśnie słyszeliśmy przez całą drogę to piekielne hałasy... Może konduktor nadejdzie tymczasem, trzeba mu będzie na to zwrócić uwagę...

— No, słuchaj, słuchaj Mieć... oni zabiją to dziecko... Boże, co się tam nie dzieje!

Tola wróciła wśród tego na swoje miejsce. Hrabia pozostał na korytarzu z papierosem w ustach, czatując na przejście konduktora, którego chciał prosić, by ten wmieszał się w sprawę w sąsiednim wagonie.

Wszelako kwadrans upłynął znowu, a konduktor się nie zjawiał, ani pociąg jeszcze nie przystawał nigdzie.

Nagle nieludzki krzyk napełnił powietrze. Tym razem pomocy wołał ktoś dorosły. Rożniewskiemu wydało się, iż był to ten sam głos starszej kobiety, który przez cały czas kłótni można było słyszeć często, zawsze go jednak zagłuszały gburowate słowa mężczyzny.

Tym razem jednak okrzyk przestrachu, jaki wyrwał się z piersi kobiecej, wydał się nie tylko głośniejszym od poprzednich, ale zabrzmiał jakoś znacznie bliżej.

Zaintrygowany tem Rożniewski, wpadł żywo na balkon, ale zanim zdołał drzwi jeszcze otworzyć, już było zapóźno.

W oczach jego spełniono rzecz okropną.

Jak do tego przyszło, nie mógł sobie zdać sprawy. Dość, że widział tyle tylko, jak jakiś mężczyzna w sile wieku, a o wyglądzie zbója — zepchnął z pomostu gwałtownym ruchem starszą kobietę, małego wzrostu. Ona to właśnie wydała w ostatniej chwili ten okrzyk, rozdzierający uszy i serce.

Kilka sekund wcześniej, a może byłby był mógł jeszcze młody hrabia przeszkodzić w porę..

Tymczasem stał się przypadkiem świadkiem przykrym owej właśnie sceny, kiedy zbój, używszy całego zapasu brutalności, na jaki mógł się zdobyć, strącił z pociągu kobietę..

Wyraźnie w oczach Mieczysława, ciało ludzkie wypadło na plant kolejowy, podczas najszybszego biegu pociągu.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta musiała dostać się pod koła i w kilka sekund z ciała jej pozostała zapewne jedynie miazga niekształtna.

Zastanawiać się nad tem wszystkiem nie miał czasu młody Rożniewski, gdy wypadł na balkon swojego wagonu, w tej chwili bowiem sam znalazł się w niebezpieczeństwie — między życiem a śmiercią — zgoła niespodzianie zagrożony...

Zbój. czyn swój straszny spełniwszy, spostrzegł natychmiast iż miał niepożądanego świadka w młodym człowieku z następnego wozu.

Jak żbik rzucił się w mgnieniu oka ze swego pomostu na drugi balkon — wprost na Mieczysława.

— Musisz także zginąć — krzyknął mu nad uchem — nie zniosę świadka.

Z temi słowy na ustach, pianą wściekłości nabiegłych — chwycił zbój oburącz Mieczysława za ramiona i pchnął go na schodki, aż hrabiemu zleciał z głowy kapelusz.

Schwycił się jeszcze w porę poręczy, co widząc przeciwnik, rękę mu od żelaza oderwał i zaczęło się krótkie, ale śmiertelne szamotanie się między tymi dwoma ludźmi.

Wszystko to odbywało się tak błyskawicznie zaiste, że hrabia nie wiedział zupełnie, co się z nim działo; czuł jedynie dreszcz zimny, jaki wstrząsa człowiekiem. strącanym w przepaść przemocą...

Już zbój brał nad nim przewagę w tem piekielnem zmaganiu się, gdy naraz ręce strasznego przeciwnika opadły z jego ramion, hrabia władzę odzyskał i usunąwszy łotra z drogi, znalazł się z powrotem na pomoście.

Ale gdy przeciwnik chciał go znowu zepchnąć na stopnie, hrabia tak szarpnął rękoma gwałtownie w obronie zagrożonego życia, że zbój zachwiał się na schodach, rękami chwycił powietrze i spadł z pociągu. Przepadł z oczu od razu, a wtedy za ręce schwyciła Mieczysława Tola, wciągając go prawie nieprzytomnego do wnętrza wagonu...

Teraz dopiero wyjaśniła się sprawa.

Oto, kiedy na jedną sekundę utracił władzę jego przeciwnik, stało się to jedynie dzięki Toli.

Wybiegła ona na platformę ze szpicrózgą w ręku, z drzwi spostrzegłszy, co się święci i na oślep wymierzyła silne cięcie napastnikowi.

Dostało się zbójowi przez głowę po twarzy, a zwłaszcza końcem szpicrózgi po oczach tak mocno, że z bólu aż jęknął i z rąk wypuścił nagle swą ofiarę.

Z tej krótkiej, sekundowej pauzy, skorzystał właśnie młody hrabia i odzyskawszy chwilową przewagę nad mocniejszym i brutalniejszym od siebie łotrem — zdołał się ocalić, przyczem jednak w obronie własnego życia pchnął przeciwnika w ten sposób, że ten musiał runąć ze stopni na pochyłość plantu kolejowego...

— Życie tobie tylko zawdzięczam, jedyna — szepnął zdyszany Mieczysław, całując po rękach drżącą jeszcze z przebytych wrażeń młodą kobietę.

Już miał usiąść, gdy naraz przypomniał sobie, że trzeba zaalarmować maszynistę na parowozie i wstrzymać pociąg.

— Wszak aż dwoje ludzi wypadło z pociągu w biegu... Trzeba plant kolejowy kazać przeszukać... Może które z nich żyje jeszcze..

A wtem rozległ się świst przeraźliwy.

Pociąg zaczął zwalniać w biegu.

To ktoś z okien wagonu wychyliwszy się po usłyszeniu krzyków, spostrzegł, jak ze schodków spadało na tor ciało ludzkie i zaalarmował liną bezpieczeństwa służbę pociągu.

Zahamowane gwałtownie wagony ze stukiem i zgrzytem stanęły w polu.. Zaniepokojenie ogarnęło podróżnych. Ten i ów wybiegł na balkon, to znów oknem wyglądał.

Konduktorzy pozeskakiwali na plant.

Z któregoś okna wołano:

— Ktoś wypadł z pociągu!

Wtedy hrabia Rożniewski poinformował dokładnie konduktora, co zaszło.

Gromada pasażerów, dopytując się ciekawie o szczegóły wypadku, otoczyła ich, że aż musieli konduktorzy nakłaniać gwałtem wszystkich do powrotu na miejsca w pociągu, obawiając się że pociąg z przeciwnej strony może na nich nagle najechać po drugim torze.

Poszukiwania na razie nie odniosły żadnych skutków, wobec czego polecono dróżnikowi przestrzeń przed chwilą ubieżoną przez pociąg przeszukać szczegółowo. a pociąg ruszył dalej w drogę, za kilka minut bowiem miano już dojechać do następnej stacyi.

Wówczas dopiero hrabia Rożniewski w towarzystwie Toli i konduktora udali się do wagonu trzeciej klasy, gdzie zaraz w pierwszym przedziale odbywały się owe kłótnie głośne, tak tragicznie wreszcie zakończone...

Zastano tam między ławkami na podłodze leżącą panienkę bez zmysłów...

Wzięto się do cucenia dziewczyny.

Wśród tego pociąg dojechał do stacyi.

Spisano protokół, do którego hrabia Rożniewski podał wszystkie znane mu szczegóły sprawy tajemniczej...

Nieprzytomną panienkę wyniesiono z wagonu, a Tola zaproponowała Mieczysławowi, że oboje zajmą się nieszczęśliwem dzieckiem.

W tym celu przerwawszy podróż, wysiedli. Pociąg ruszył w dalszą drogę, a na stacyi tymczasem z trudem docucono się omdlałej...

Wkrótce dano znać naczelnikowi, że na torze znaleziono masę niekształtną. Jak wnosić należało ze szczątków sukien, była to kobieta, którą pociąg przejechał i zmiażdżył.

— To właśnie była ofiara owego zbója, wyrzucona przez niego z pociągu pędzącego...

Mężczyzny jednak nie znaleziono nigdzie na

tej przestrzeni i nie można było pojąć, gdzie podział się ów łotr, wypadłszy z pociągu wśród szamotania się z hrabią...

Przeniesiono się do hotelu obok dworca kolejowego, stan bowiem nieznajomej dziewczyny wymagał wypoczynku.

Ułożono ją w łóżku, nie męcząc pytaniami.

Nazajutrz dziewczę lepiej się już czuło, ale mówić nie mogło i nic więcej nie można było dowiedzieć się od nieszczęśliwej, jak to, że się boi...

Istotnie sprawiała wrażenie istoty ciężko chorej nerwowo. Musiała przejść wiele nieszczęść, skutkiem których popadła w osobliwy lęk...

Co chwila tylko kurczowo drobne rączki swoje wciskała w dłonie Toli, błagając ją wzrokiem, byle przy niej mogła pozostać, byle jej już nie opuszczać.

— To musi być dziecko skradzione — mówiła Tola do Mieczysława. — Przecież ci ludzie nie mogli być jej rodzicami... Wystarczy przypatrzeć się jej uważnie... Ręczę ci, że to dziecko z wielkopańskiego domu..

— Gdybyśmy mogli dowiedzieć się czego od niej...

Panienka milczała nadal.

Pytano, czy chce z nimi pozostać, czy pojedzie z nimi. Odpowiadała jedynie smętnym uśmiechem i w zamyśleniu kiwała główką.

A kiedy zapytywano, czyby może użyć pomocy władz dla odszukania owych ludzi, z którymi odbywała podróż — dziewczę wpadało w stan tak wielkiej trwogi, że się zdawało, iż cierpi na epilepsyę...

Postanowił tedy młody Rożniewski po naradzie z Tolą zabrać nieznajomą w dalszą drogę i opiekować się nią — dopóki dziecko nie przyjdzie trochę do siebie i nie będzie umiało dać im nieco objaśnień co do swej osoby, a wówczas odeśle się ją dokąd będzie trzeba.

Ucieczka waryata.

Doktór Anielski znajdował się jeszcze ciągle w swej cichej celi na Pawiaku.

Były chwile, że w głowie biedaka tak się już mąciło, iż był zaiste na pograniczu między obłędem a zdrowemi zmysłami.

Lekarze jednak obchodzili się z nim tak troskliwie, że wreszcie powrócił do równowagi, a wtedy odczuł on swoje położenie tem boleśniej, zastanawiając się przytomnie nad swoim opłakanym losem.

Resztę zrobiły częste i stałe wizyty doktora Wrzesińskiego.

Jan teraz dopiero oryentował się w tem, jak szalenie postąpił w chwili swego strasznego podniecenia.

To też odczuwał wdzięczność serdeczną względem przyjaciela, który tak energicznie wmieszał się w sprawę jeszcze w samą porę... Gdyby nie on, byłby Jan niewątpliwie popadł w obłąkanie naprawdę.

Ale teraz z zupełną przytomnością rozmyślał Anielski w swojej celi więziennej nad strasznemi przejściami z ostatnich czasów...

Czegóż bo nie przeżył ten człowiek w ciągu dni niewielu... Wszystko jasno stawało mu przed oczyma i szarpało na nowo serce.

Jak znaleźć wyjście z tej matni — nad tem zastanawiał się najdłużej, ale nadaremnie, pocieszając się wszakże tem, że fizycznie przynajmniej czuł się już znacznie lepiej.

Zrazu nie miał on żadnych wieści ze świata o ludziach, których los go obchodził żywo.

Aż nakoniec przyszedł doktór Wrzesiński do niego z radosną nowiną, że udało mu się po usilnych staraniach, przecież dowiedzieć się coś niecoś o osobach drogich sercu przyjaciela.

Uspokoił on Jana co do Wandy, o której dowiedział się, że bawi w Rożniewie u ojca, ale nie poślubiła jeszcze barona Goldenthala.

Co się tyczy jednak dziecka Anielskich — w tej mierze nic uspakajającego nie mógł Wrzesiński powiedzieć.

Zasięgał u różnych ludzi informacyj co do księcia Czerskiego, ale nikomu nie było wiadomem, gdzie on się podział. Przepadł nagle, jak kamień w wodę wraz z córką swoją i przybranem dzieckiem.

Wyjechali tak niespodziewanie i taka tajemnica okrywała ten wyjazd, że mimo najlepszych chęci niczego w tej mierze nie mógł się Wrzesiński dowiedzieć, by przynajmniej módz powiedzieć przyjacielowi, dokąd i w jakim celu książę z jego dzieckiem wyjechał.

Martwił się też w dalszym ciągu Anielski losem nieszczęsnej Marylki Reman, która nadal pozostawała w więzieniu i nie sposób było ją uwolnić.

— Poczyniłem właśnie pewne kroki u dyrektora więzienia, żeby cię można przenieść do prywatnej lecznicy... A już moja rzecz w tem, mój Janie, żebyś tam korzystał z zupełnej wolności.

Aż oczy zabłysły Anielskiemu, gdy te słowa usłyszał.

— Bądź dobrej myśli, uczynię wszystko, żebyś mógł swobodnie działać w sprawach, które uznasz za najpilniejsze.

— Bóg ci zapłać, poczciwy przyjacielu!

— W razie potrzeby, powiedziałem to już dyrektorowi więzienia, złożę nawet kaucyę za ciebie... Sam nie mam tyle pieniędzy, ale dziś już chodziłem w tej sprawie i mam pewność, że gdyby do tego przyszło, otrzymam potrzebną na ten cel sumę w ciągu godziny...

Teraz Anielski miał tylko jedno pragnienie: ujrzeć co prędzej swoją żonę. Wszystko inne miało zależeć właśnie tylko od widzenia się z Wandą.

Pożerała go tęsknota dniem i nocą, nie mógł



— Musisz także zginąć — krzyknął mu nad uchem — nie zniosę świadka!

się doczekać chwili spotkania się z ukochaną kobietą, a lęk ogarniał go często na myśl, że może się u niej zjawić zapóźno...

— Wszak jeden dzień stanowić może o wszystkiem... Gotów jestem przybyć do niej w godzinę po ślubie jej z Goldenthalem...

Dlatego naglił ciągle, by możliwie jak najrychlej opuścić więzienie.

— Uspokój się, Janku — pocieszał go Wrzesiński — nie potrzebujesz obawiać się niczego... Zastanów się... Przecież nawet w najgorszym wypadku, gdybyś przyjechał do Wandy już po ślubie jej z baronem, to jednak nie zapominaj o tem, że samo twoje pojawienie się tam, już unicestwia i unieważnia małżeństwo jej z Goldenthalem... Przecież ona w tym wypadku wyszłaby za niego jedynie na tej podstawie, że pierwszy mąż jej nie żyje... A skoro ty stawisz się na miejscu i tem samem będzie dowód, iż właśnie żyjesz, wówczas akt powtórnego ślubu Wandy żadną miarą nie może być ważnym...

Nie udało się Wrzesińskiemu uspokoić przyjaciela takiemi argumentami.

— Słuchaj, człowieku, co też ty mi mówisz, czy nie zastanowiłeś się nad skandalem, jakiby wynikł z tego powodu. Czy sądzisz, żeby to nie nabrało rozgłosu... Zapominasz o starym Rożniewskim, o nim przedewszystkiem... Pomyśl, że ten dumny hrabia uznał za nieważny mój ślub z Wandą... i chciał bez tak ważnego powodu, jak śmierć moja, lecz jeszcze za mego życia wydać, mimo wszystko, córkę za barona Goldenthala...

Sposępniał po tych słowach dr Wrzesiński, a Jan zaczął go znowu naglić, by poczynił starania w celu jak najrychlejszego przeniesienia go z obrębu tego więzienia.

Zgodził się przyjaciel spełnić jego życzenie bez zwłoki, pojmując pobudki, dla których tak niesłychanie śpiesznie było z tem biednemu więźniowi.

Udał się tedy do dyrektora.

Fatalnie się jednak składało, że dyrektor przed chwilą wyszedł z biura. Poinformowano Wrzesińskiego, że znalazłby go teraz w restauracyi, dokąd zaprosiło go paru panów na małą przekąskę....

Próbował tam młody doktór zajrzeć parę razy, ale nie było sposobu wyciągnąć dyrektora z towarzystwa.

Wrócił tedy do biura jego i pogadał z urzędnikami, czyby się nie dało jakoś temu zaradzić. Właśnie nadarzała się okazya niezwykła. Stało się coś takiego, do czego obecność samego dyrektora choćby na kwadransik była niezbędną.

Posłano tedy po niego do restauracyi. Odpowiedział, że zaraz przyjdzie. To zaraz, trwało wprawdzie dość długo, ale Wrzesiński ani na chwilę nie oddalał się z jego kancelaryi w oczekiwaniu na powrót, chciał go bowiem zaraz w pierwszej chwili przyłapać na jedno słówko.

Pan dyrektor, naturalnie, był w złym humorze, niezadowolony, że mu przerwano pogadankę przy kieliszku i już był przyjaciel Jana w strachu, że sobie pośpiechem tylko popsuł sprawę, jednakowoż mimo wszystko, otrzymał od niego przyzwolenie, a zawdzięczał je właśnie temu, że się tak bardzo dyrektorowi śpieszyło z powrotem, do oczekującej go w restauracyi kompanijki.

Uszczęśliwiony, pobiegł Wrzesiński do celi Anielskiego z radosną nowiną.

Ale przez ten czas jego nieobecności, stała się rzecz niespodziewana.

Ile razy pan Wrzesiński był z wizytą w celi Anielskiego, strażnik nie miał zwyczaju zamykać drzwi, ani nie pilnował ich. Dopiero kiedy doktór odchodził, sam zawiadamiał strażnika o tem i ten zamykał więźnia szczelnie.

Wyjątkowo tym razem stało się inaczej.

Strażnika przy drzwiach nie było. A Wrzesiński wiedząc, że zaraz powróci, odchodząc tylko do kancelaryi dyrektora, nie uznał za stosowne uwiadamiać jeszcze strażnika, żeby ten poszedł drzwi zamknąć.

Anielski czekał i czekał, aż mu tego czekania było za wiele i zaczął się niecierpliwić.

Domyślał się Wrzesiński, jak musi się przyjacielowi wydawać długiem czekanie na jego powrót w tak ważnej sprawie, ale nie mógł ani na chwilę odejść, sam wyczekując przyjścia dyrektora z restauracyi.

Zniecierpliwiony wreszcie Anielski do żywego, podszedł do drzwi nadsłuchiwać, czy nie nadchodzi Wrzesiński. Wśród tego zauważył, iż drzwi nie są jak zwykle zamknięte i uchylił je lekko.

Nie było nikogo na kurytarzu w pobliżu. Więc jakoś prawie bezwiednie wyszedł z celi, stanął na chwilę w kurytarzu, potem postąpił kilka kroków przed siebie i nie napotykając jeszcze nikogo, przyśpieszył kroku.

(Cięg dalszy nastąpi).

Wylew rzek w powiecie tarnobrzeskim.

Tegoroczne wylewy w kraju naszym dały się najwięcej we znaki powiatowi tarnobrzeskiemu. Oprócz Wisły i Sanu, kilkanaście pomniejszych rzeczek, jak Łęg, Trześniówka, Strachocka i inne, w stanie normalnym zupełnie niepokaźne, tego roku w lipcu prawie wszystkie wystąpiły z brzegów, najgroźniej Łęg i San. W nocy z 9-go na 10 go lipca wody Łęgu i Sanu zaczęły tak nagle wzbierać, że już o czwartej rano woda Łęgu przerwała w 7 miejscach wały ochronne, a to pod Kotową Wolą, Jamnicą, Grębowem i, płynąc ogromnym strumieniem, w przeciągu dwóch godzin zalała pola na przestrzeni kilkunastu tysięcy morgów; około dziesiątej rano przerwała wał kolejowy pod Zaleszanami, w którym wyrządziła ogromne spustoszenie i znów rozlała się dalej po ogromnej przestrzeni. Oparła się dopiero na starym wale Łęgowym, przypierającym na poprzek do nowego wału ochronnego pod Gorzycami.



Wylew rzek w powiecie tarnobrzeskim: Prace na wałach ochronnych przy Sanie pod Rzeczycą Długą, w chwili, kiedy woda już opadała. Na wale z przodu 1. hr. Lasocki, starosta tarnobrzeski, 2. Inżynier Stein, 3. Naczelnik straży ogniowej M. Kanarek, 4. P. Baraniecki, 5. B. Kanarek, członkowie akcyi ratunkowej.



Dziesięciolecie strażaka: Józef Hłasko, od lat 10 ogniomistrz straży pożarnej warszawskiej, obecnie oddziału V. praskiego.

Na miejscu katastrofy pod Gorzycami zebrało się kilka tysięcy ludzi, oraz kilkaset fur z zagrożonych gmin i obszarów dworskich. Pod kierownictwem właściciela dóbr ze Skowierzyna p. Rachmiela Kanarka, zabrano się energicznie do sypania prowizorycznych wałów. Wysiłki tysięcy pracujących okazały się jednakże daremne, gdyż około godziny 2-ej popołudniu prowizoryczne wały, jakoteż i stary wał już szalonego biegu wody wstrzymać nie mogły. Wszyscy pracujący, chcąc ratować własne życie, mieli już wały opuścić, gdy zjawił się na miejscu starosta tarnobrzeski, hr. Lasocki wraz z kierownikiem ekspozytury regulacyi Wisły, inżynierem Heinem, który, rozpatrzywszy się w sytuacyi, rozkazał odrazu przekopać nowy wał, co spowodowało bardzo szybki wpływ wody wylewowej napowrót do koryta rzecznego; toteż woda wylewowa zaczęła natychmiast opadać. Było to w chwili stanowczej, gdyż woda już się przedostawała przez stary wał i byłaby zalała kilkanaście wsi, poniżej tego wału leżących.

Ponieważ nadeszły wiadomości że San również nadzwyczaj szybko wzbiera zorganizował starosta hr. Lasocki komitet ratunkowy, do którego powołał obecnych tam wówczas inżynierów Heina i Melcherta, p. B. Kanarka, naczelnika straży ogniowej p M. Kanarka i kilku innych obywateli, zostawiając p. Rachmielowi Kanarkowi dalszą obronę w rejonie Łęgowym, inżynierowi Melchertowi obronę Wisły i Krzemionki, a sam, jako kierownik całej akcyi ratunkowej wraz z inżynierem Heinem i p. M. Kanarkiem, po ponownem zbadaniu całego terenu zalanego, udał się statkiem parowym, oddanym dla użytku komitetu akcyi ratunkowej przez p. Kanarka, na rzekę San, która pod Rzeczycą Długą żadnego obwałowania nie posiada i gdzie sytuacya była również bardzo niebezpieczna. Tak pod Gorzycami jak i pod Rzeczycą Długą i innych miejscach zagrożonych, zostały całe wsi ochronione jedynie dzięki energicznemu zarządzeniu p. starosty.

Wszyscy członkowie komitetu ratunkowego przez pięć dni i cztery noce ze statku nie schodzili, krążąc przez cały czas od jednego do drugiego miejsca zagrożonego, pomimo niebezpieczeństw, jakie statkowi na wzburzonej wodzie, przepełnionej pływającemi klocami drzewa, groziły. Kierownik statku, p. Halicki z nadzwyczajną zręcznością wydobywał się z całej matni pływającego drzewa.

Według opowiadania jednego z członków akcyi, żaden z nich przez cały ten czas nie spał dłużej jak 2—3 godzin na dobę.

Wszystkim członkom komitetu akcyi ratunkowej, a w szczególności kierownikowi tejże hr. Lasockiemu, należy się za to ogólne uznanie.

Załączona obok illustracya przedstawia prace ochronne przy Sanie pod Rzeczycą Długą, w chwili, kiedy woda już opadała; przy usypanych wałach widzimy jeszcze pozostałą część ludności pracującej, między którą dla dozoru ustawieni są żandarmi. Na wale z przodu 1. hr. Lasocki, 2. inżynier Hein, 3. naczelnik Kanarek, 4 i 5 członkowie akcyi ratunkowej Baraniecki i Bernard Kanarek. Druga illustracya przedstawia statek ratunkowy wraz z członkami akcyi ratunkowej, również po ukończeniu czynności tegoż komitetu.



Promocya Polaka: Bolesław Śląski, kandydat praw, nowomianowany pomocnik inspektora szkół miasta Warszawy. (Dotychczas stanowisko to obejmowali wyłącznie Rosyanie).

10-lecie strażaka.

Ogniomistrz straży ogniowej praskiej, kapitan Józef Hłasko w Warszawie, obchodził dziesięciolecie swej ciężkiej służby, zaczętej w dniu 19 lipca 1896 r.

Początkowo był ogniomistrzem IV. oddziału, skąd przed paru laty został przeniesiony na Pragę do oddziału V.

Z tego powodu koledzy z naczelnikiem straży, podpułkownikiem Sudrawskim na czele, złożyli jubilatowi serdeczne życzenia i wręczyli mu upominek w postaci kosztownego zegarka z łańcuszkiem,



Wylew rzek w powiecie tarnobrzeskim: Statek ratunkowy wraz z członkami akcyi ratunkowej po ukończeniu czynności w nawiedzonych wylewem okolicach Sanu i Wisły.

a następnie kapitan Hłasko podejmowany był obiadem w ogrodzie przed strażą nalewkowską, podczas którego do późnego wieczoru przygrywała orkiestra straży.

Z fundacyi Skarbkowskiej.

Wydział krajowy zamianował w ubiegłym tygodniu ogrodnikiem fundacyi Skarbkowskiej, oraz nauczycielem ogrodnictwa w zakładzie wychowawczym dla sierót w Drohowyżu pod Mikołajowem, p. Zygmunta Drobnera.

Nowomianowany ogrodnik fundacyi Skarbkowskiej jest mimo młodego wieku — liczy bowiem dopiero 32 lata życia — niepospolicie w swym zawodzie wyszkolony. Urodzony w Królestwie Polskiem, uczęszczał tam do szkół średnich, poczem przeniósł się do Galicyi i wstąpił do krajowej szkoły ogrodniczej w Tarnowie. Następnie po jednorocznej praktyce zawodowej wyjechał na studya za granicę i kształcił się naprzód w Proskau w Prusiech, poczem jako stypendysta Wydziału krajowego bawił w Stuttgardzie, następnie przez dwa lata we Francyi i znowu w Niemczech. Ogółem spędził p. Drobner ośm lat za granicą. Wróciwszy przed pięciu laty do kraju, założył wspólnie z swym bratem Bolesławem, również fachowo za granicą wykształconym ogrodnikiem, zakład ogrodniczy we Lwowie.



Z fundacyi Skarbkowskiej: Zygmunt Drobner, znakomicie wykształcony za granicą ogrodnik, który został w zakładzie wychowawczym fundacyi Skarbkowskiej w Drohowyżu nauczycielem ogrodnictwa.

Zakład pp. Drobnerów, pierwszorzędny tego rodzaju w Galicyi, produkuje wzorowe szkółki drzew owocowych, warzywa, przetwory owocowe itp. Wskutek nominacyi p. Zygmunta nauczycielem ogrodnictwa w Drohowyżu, traci firma dzielnego współpracownika, zyskuje natomiast dużo ogrodnictwo krajowe. Spodziewać się bowiem należy, że pod kierunkiem młodego nauczyciela wychowa się w zakładzie drohowyskim spory zastęp wzorowych i dzielnych ogrodników, którzy ogrodnictwo nasze na wyższy podniosą szczebel.

Obok zamieszczamy portret p. Zygmunta Drobnera.



Lwowscy esperantyści: Wydział nowego Towarzystwa „Esperanto“ (dla propagowania języka międzynarodowego) we Lwowie: pośrodku prezes Juliusz Reiner, powyżej Zofia Mokłowska, na lewo p. Dzieślewska, na prawo inżynier Edmund Libański, wiceprezes Tow.

Lwowscy esperantyści.

Przed kilkunastu laty ogłosił lekarz warszawski dr. Ludwik Zamenhof broszurkę „Język międzynarodowy — przedmowa i podręcznik kompletny“. W broszurce tej wyłożył autor, kryjący się pod pseudonimem „dr. Esperanto“, zasady teoretyczne nowego języka międzynarodowego, utworzonego przezeń na zasadzie międzynarodowości pierwiastków słownych, tj posiłkowania się w tworzeniu słownika pierwiastkami, zaczerpniętymi z języków żyjących współczesnych. Ideą dr. Zamenhofa było utworzenie języka, którymby porozumiewać się mogły między sobą wszystkie narody. Idea ta znalazła liczny zastęp zwolenników, przedewszystkiem zagranicą i przyjęła się we wszystkich prawie krajach świata. Język międzynarodowy, nazwany „Esperanto“, ogromnie prosty i łatwy do nauki, stał się w ciągu kilkunastu lat niesłychanie popularnym i dziś rozchodzą się po wszystkich cywilizowanych krajach dziesiątki pism, w tym języku redagowanych, urządza się specyalne kursy esperantystyczne we Francyi, Anglii i innych krajach,



Lwowscy esperantyści: Kierownicy ruchu, propagującego język międzynarodowy w nowem Towarzystwie „Esperanto“ we Lwowie: powyżej od lewej ku prawej sekretarz Witołd Skalski; H. Lazica, I lektor języka „Esperanto“; członek Wydziału Wiktor Sedlaczek; poniżej: skarbnik Maryan Dzikowski; inżynier Evstifcieff z Mandżuryi, który przemawiał na walnem zgromadzeniu Tow. we Lwowie; Michał Urbański, zast. sekretarza.



73-letni starzec samobójcą: Członek austryackiej Izby panów, Ferdynand Saar. wybitny poeta niemiecki, który przed tygodniem odebrał sobie życie w Wiedniu.

wielka część klasycznej literatury, najcelniejsze dzieła wszystkich narodów istnieją w przekładzie na Esperanto, pojawiają się dzieła fachowe, medyczne, techniczne, filozoficzne w tym języku napisane.

Zwolna zyskuje Esperanto i u nas zwolenników. We Lwowie zawiązało się niedawno towarzystwo esperanckie, którego celem jest propagowanie międzynarodowego języka przez urządzanie kursów tego języka, przez dostarczanie członkom na zebraniach sposobności do konwersacyi, przez prenumerowanie pism esperantystycznych i gromadzenie biblioteki, złożonej z arcydzieł literatury powszechnej w przekładzie na Esperanto, dalej przez urządzanie odczytów, wykładów, wydawanie broszur i t. d.



Fot. Rembrandt.
Z szeregowca pułkownikiem: Mianowany pułkownikiem Paweł Karge we Lwowie, który służbę wojskową rozpoczął jako szeregowiec.

Inicyatywę do założenia tego towarzystwa dał znany popularyzator wiedzy, inżynier Edmund Libański. Towarzystwo „Esperanto“, choć młode jeszcze, rozwija się coraz piękniej i liczy coraz więcej członków. Rozpoczęło też Tow. to wydawnictwo pierwszego na ziemiach polskich pisma peryodycznego w języku esperanckim i polskim, pt. „Pola Esperantisto“.

* * *

Prezesem Tow. jest p. Juliusz Reiner, a wiceprezesem p. Libański. Również i panie biorą żywy udział w ruchu esperantystycznym we Lwowie i dwie z nich, pp. Dzieślewska i Mokłowska, zasiadają w wydziale „Esperanta“.

73-letni starzec samobójcą.

W ubiegły poniedziałek odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Ferdynand Saar w Wiedniu, jeden z najwybitniejszych poetów i literatów niemieckich, członek austryackiej Izby panów.

Przyczyną rozpaczliwego kroku 73 lat liczącego starca, otaczanego powszechną czcią i poważaniem, była nieuleczalna choroba, przepuklina, połączona z wielkiemi cierpieniami. Z zamiarem samobójstwa Saar nosił się od dłuższego już czasu. Fizyczne cierpienia dokuczały mu tak dalece, że stojąc już prawie nad grobem, nie zawahał się skrócić dni życia kulą rewolwerową i uprzedzić nielitośną dla niego śmierć.

Ferdynand Saar, którego portret obok zamieszczamy, cieszył się w świecie literackim powagą jednego z najwybitniejszych pisarzy. Utwory jego, o charakterze przeważnie lirycznym, dramaty, nowele, były mieszaniną dawnych na sztukę poetycką poglądów i porywów nowoczesnych. Odznaczały się zawsze misterną formą. Niektóre nowele Saara tłómaczono na wszystkie języki europejskie. Dramaty jego nie miały na scenie powodzenia.

Z szeregowca pułkownikiem.

Niezwykła i w dzisiejszych czasach ogromnie rzadka uroczystość miała miejsce ubiegłej niedzieli we Lwowie. Oto odbyła się uroczysta dekoracya krzyżem rycerskim Franciszka Józefa, mianowanego równocześnie pułkownikiem pana Pawła Kargego. Niezwykłość tej uroczystości polega w tem, iż pułkownik Karge rozpoczął przed 38 laty służbę wojskową jako zwyczajny szeregowiec i tylko swemi niezwykłemi zaletami umysłu i charakteru dobił się tak wysokiej w wojskowości rangi.

P. Paweł Karge pochodzi z lwowskiej rodziny mieszczańskiej. Urodzony w r. 1851, wstąpił jako siedemnastoletni młodzieniec w charakterze szeregowca do 66 pułku piechoty, stojącego wówczas we Lwowie załogą. Awansował kolejno na podoficera, a następnie na oficera, służąc w pułkach 66, 41 i 30. Najwięcej lat spędzał w lwowskim pułku 30, bo przeszło dwadzieścia. W ostatnich latach, już jako major a następnie podpułkownik był szefem okręgowej komendy uzupełniającej lwowskiej. Na stanowisku tem, bardzo ważnem i odpowiedzialnem, umiał sobie zaskarbić przywiązanie swych podwładnych, a wśród bardzo licznych, szerokich kół osób cywilnych, mających styczność ze sprawami wojskowemi, z rozmaitemi meldowaniami itd., zdobył sobie wdzięczność i zaufanie.

Poświęciwszy pełnych 38 lat służbie wojskowej, postanowił p. Karge przejść w zasłużony stan spoczynku. Prośbę jego przyjęto, przyczem cesarz zamianował go pułkownikiem, oraz odznaczył go rycerskim krzyżem Franciszka Józefa.

W niedzielę 22 lipca na placu ćwiczeń 30 pp., na tak zwanej cytadeli, stanął cały pułk w paradzie z muzyką. Pułkownik 30 pp. p. Rosner wręczył p. Kargemu zaszczytną odznakę i w serdecznych słowach pożegnał go imieniem pułku.

Rycina nasza przedstawia właśnie tę chwilę. Nadto zamieszczamy w dzisiejszym numerze portret pułkownika Kargego.

Nowy inspektor kawaleryi.

W ubiegłym tygodniu przyniosły pisma codzienne wiadomość, iż generalny inspektor kawaleryi, arcyksiążę Otto, został przez cesarza zwolnionym z tego stanowiska na własną prośbę, z powodu podeszłego wieku i nadwątlonego stanu zdrowia. Następcą ks. Ottona został mianowany obecny generał komenderujący XI korpusu we Lwowie, p. Rudolf Brudermann.

Generał Brudermann bawił we Lwowie na stanowisku komenderującego korpusem zaledwie kilka miesięcy, i w krótkim tym czasie swoimi przymiotami, swoim taktem, swoją względnością zjednał sobie uznanie i sympatyę całego miasta. Od czasu objęcia przez niego głównej komendy we Lwowie



Nowy inspektor kawaleryi: W miejsce ustępującego arcyksięcia Ottona, zamianowany inspektorem generalnym kawaleryi w armii austryackiej, gen. Rudolf Brudermann dotychczasowy generał komenderujący XI korpusu we Lwowie.

harmonia między ludnością a wojskowością nigdy zakłóconą nie była. Gen. Brudermann związany z miastem Lwowem bliższemi nićmi — ożeniony jest bowiem z Lwowianką, p. Jürgensówną z domu — okazywał również dla miasta wiele sympatyi i chętnie śpieszył z pomocą lub z ulgami instytucyom dobroczynnym i fizycznego wychowania. Dlatego ze szczerym żalem dowiedział się Lwów o jego powołaniu do Wiednia, lecz zarazem szczerze mu życzy powodzenia na nowem, tak wysokiem i tak zaszczytnem stanowisku. Również i załoga lwowska, dla której gen. komenderujący Brudermann był zawsze najlepszym opiekunem, pełna jest żalu z powodu jego odwołania ze Lwowa.

Następcą gen. Brudermanna na stanowisku główno-komenderującego we Lwowie został dotychczasowy komendant korpusu w Zagrzebiu hr. Karol Auersperg.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy portret gen. Brudermanna, mianowanego gen. insp. kaw.

Centralny kurs koszykarstwa we Lwowie.

Od półtora roku istnieje we Lwowie w zapadłej, zacisznej stronie miasta, u stóp Wysokiego Zamku, centralny kurs koszykarstwa. Kurs ten został założony i jest utrzymywany z funduszów krajowych przez krajową komisyę dla spraw przemysłowych Celem kursu jest wprowadzenie pożądanych zmian we formy koszykarskie, obecnie w rozmaitych krajowych szkołach używane i zaprojektowanie oraz wykonanie nowych form. W tym celu powołuje komisya na każdy kurs, trwający przez pięć miesięcy, po sześciu ukończonych uczniów szkół koszykarskich i uzupełnia ich wykształcenie przez odpowiednio prowadzoną naukę rysunków.

Kierownikiem warsztatowym na kursie jest p. Jan Kwaśniewski, b. instruktor szkoły koszykarskiej w Wielowsi. Pod jego kierunkiem wykony-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz we Lwowie.
Z szeregowca pułkownikiem: Dekoracya krzyżem rycerskim Franciszka Józefa, mianowanego równocześnie pułkownikiem Pawła Kargego, który przed 38 laty zaczął służbę jako rekrut; na cytadeli we Lwowie pułkownik 30 p. p. Rosner (1), przed frontem pułku w paradzie, wręczywszy odznakę Kargemu (2), żegna ustępującego w stan spoczynku.

wują uczniowie rozmaite przedmioty, przeważnie meble w stylu modernistycznym angielskim. Nadto uczniowie ci pobierają w 12 do 18 godzinach tygodniowo naukę rysunków zawodowych, wedle najnowszej metody.

Wyniki pracy na kursie były już w pierwszem półroczu bardzo znaczne, tak, że komisya dla spraw przemysłowych urządziła w salach miejskiego muzeum przemysłowego wystawę wyrobów kursu; wystawa ta zyskała ogólne uznanie. Za pośrednictwem kraj. związku przemysłowego, znaczna część tych wyrobów została wysłaną do Anglii na wystawę.

Obecnie kurs centralny koszykarstwa jest szkołą koszykarską wyższego rzędu dla kształcenia przodowników i instruktorów koszykarstwa, oraz dla projektowania i wykonywania nowych form w zakresie mebli, wyrobów użytkowych i galanteryjnych.

Rycina nasza przedstawia salę warsztatową kursu podczas pracy. Na lewo stoi p. Kwaśniewski, kierownik warsztatu.

Ofiara Zawratu.

(Do illustracyi na str. 3).

Słynna przełęcz Zawratu nad Czarnym Stawem Gąsienicowym była świeżo widownią tragicznego wypadku, którego ofiarą padł młody trzydziestokilkoletni lekarz warszawski, dr Dobrowolski. Dr Dobrowolski doświadczony, ale nierozważny turysta, wracał sam, bez przewodnika, z Morskiego Oka przez Zawrat, który obecnie jest jeszcze w całej górnej części zasypany śniegiem, tu i ówdzie zlodowaciałym. Widocznie chciał zjechać na dół po powierzchni śniegowej, dostał się na szmat lodowego łanu, nabrał zbyt wielkiego rozpędu i koziołkując, spadł z kilku pięter skalistych, uderzając kilkakrotnie głową o głazy. Śmiertelnie poraniony, z uszkodzoną czaszką i z połamanemi nogami, legł nieprzytomny w kotlince poniżej Zmarzłego Stawku. Tam dojrzały go dwa towarzystwa, które szły przez Zawrat, jedno niemieckie, drugie polskie. Niemieccy turyści pospieszyli nieszczęsnej ofierze sportu górskiego z pomocą; wydobywszy z „Rucksaków“ bandaże, nałożyli mu pierwszy opatrunek, obmyli go i wlali mu trochę koniaku do ust, poczem dali znać w schronisku przy Czarnym Stawie o wypadku. Natomiast polskie towarzystwo czemprędzej ulotniło się z miejsca katastrofy i nie troszczyło się wcale o rannego.

Gdy wieść o wypadku doszła do Zakopanego, wyruszyło wieczorem ośmiu przewodników do Czarnego Stawu, gdzie tymczasem przeniesiono dra Dobrowolskiego.

Lekarze zakopiańscy wcale nie kwapili się z pomocą i wzdragali się udać do Czarnego Stawu; dopiero dr Majewicz, acz nie chirurg, wybrał się w nocy wraz z przewodnikami na miejsce wypadku i opatrzył rannego.

Około godz. 6 nad ranem przewodnicy przynieśli na noszach dra Dobrowolskiego do Zakopanego do szpitala.

Wspomnieć będzie nie od rzeczy, że dr D. z Warszawy przebył całą kampanię rosyjsko-japońską, jako lekarz w Mukdenie.

Do Zakopanego przybył z Warszawy do rannego brat, którego właśnie widzimy na naszej fotografii w towarzystwie chorego w bandażach.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Centralny kurs koszykarstwa we Lwowie Sala warstatowa kursu podczas pracy; na lewo stoi kierownik p. Kwaśniewski



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.
Sieroty po ofiarach rozruchów antyżydowskich: W przejeździe z Rosyi za granicę bawiące we Lwowie sieroty żydowskie, które straciły rodziców w czasie rozgłośnych wypadków w Jekaterynosławiu, Kiszyniewie, Odessie i Białymstoku; po prawej stoi p. Śpiewak, który z sierotami jedzie za granicę.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

20 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Jakżeż szczęśliwą była ta wieśniaczka, biednie wprawdzie ubrana, ale zdrowa i hoża, z uśmiechem na czerstwej twarzy, w porównaniu z nią, bogatą hrabiną, mającą do rozporządzenia wszystko, co tylko można było kupić za pieniądze, a teraz tak nieszczęśliwą i biedną. Erna zazdrościła prawie tej kobiecie z ludu, nie mającej nawet pojęcia i nie marzącej o tem, co dla niej stanowiło już powszedniość.

— Tak — mówiła sama do siebie — gdyby zazdrość nie była wstrętną, to prawdopodobnie musiałabym zazdrościć tej biednej kobiecie, która pewnie żyje szczęśliwie z mężem, ciesząc się dziećmi, które ją wieńcem otaczają. Jeszcze nie skończyłam dwudziestu lat, a czego już nie musiałam doświadczyć od czasu, jak mi matka i siostra pomarły! Ja, której zawsze strzeżono jak oka w głowie! Czyż jeszcze kiedy los się do mnie uśmiechnie? Czy rany, jakie mi zadano, zabliźnią się kiedy?

Potrząsła główką, jakby sama w to nie wierzyła, ale naraz ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Odrzuciła dumnie główkę w tył i prawie głośno zawołała:

— A niechby mi los nie sprzyjał i dalej, to sama wezmę się do niego, sama sobie pomogę! Młoda jeszcze jestem, życie stoi przedemną otworem! Przy boku mego męża musiałabym umrzeć, uwiędnąć, jak roślina, której słońca brak!

Ale ja chcę żyć, chcę być szczęśliwą! Serce moje tego żąda, wargi moje spragnione miłości.

Myślała teraz o doktorze Stürmerze i na samą myśl o nim krew jej nabiegła na twarz. Ba, gdyby mogła należeć do niego! Ale nawet nie odważyła się myśleć o tem dłużej, boć to przecież nigdy, nigdy nie nastąpi. Nawet ona by takiego szczęścia nie zniosła; zdawało się jej, iż taka rozkosz musiałaby ją zabić.

Ale, ileż to godzin już? Wyjęła z kieszeni mały, brylantami sadzony zegarek i spostrzegła, że już była trzecia po południu. A jego jakoś nie było widać nigdzie.

Kiedy drugi raz zaczęła obchodzić ruiny pustelni, wpadła jej naraz myśl, że on, przyszedłszy z drugiej strony i nie widząc jej nigdzie, mógł wejść przecież do ruin. Tam więc skierowała swoje kroki.

Ale i w wielkim refektarzu, do którego weszła, nie zobaczyła nikogo. Już miała zamiar wyjść na pole, kiedy naraz wzrok jej padł na małe drzwiczki, znajdujące się po prawej stronie w ścianie. Równocześnie zdawało jej się, że uszu jej dobiegł stamtąd jakiś cichy szmer.

A może on tam wszedł? — pomyślała.

I podeszła ku drzwiczkom, położyła rękę na pleśnią pokrytej klamce. Znalazła się zaraz w małym, wązkim pokoiku, dosyć ciemnym, bo skąpe światło przedzierało się jedynie przez małe, zakratowane okienko. Zdziwiona zaczęła się oglądać, bo nigdy w życiu jeszcze tu nie była, a nawet zupełnie nie wiedziała, że tu taka kryjówka istnieje.

W jednym kącie było trochę słomy, a obok resztki jedzenia, co ją niemało zdziwiło. Tu musiał ktoś mieszkać, przynajmniej na to wskazywały te ślady.

Ogarnęła ją trwoga, kiedy tak wzrokiem wodziła po tych ścianach Naraz zdało jej się, że słyszy w refektarzu jakieś kroki. Ale zanim zdecydowała się zobaczyć, kto to być może, jakaś niewidzialna ręka zatrzasnęła drzwi z tamtej strony.

— Panie Stürmer — zawołała przerażona — czy to pan?

Nie było odpowiedzi.

Pobiegła więc, aby drzwi otworzyć, bo myślała, że może wiatr je zamknął. Pocisnęła klamkę, ale drzwi się nie otworzyły, a i druga próba wyjścia nie udała się. Zdało jej się nawet, że słyszy jakiś przytłumiony śmiech i nagle krew jej się ścięła w żyłach.

— Kto tam jest? — zawołała jak mogła najgłośniej, ale w odpowiedzi usłyszała jeno śmiech, szatański iście śmiech. Z początku myślała, że to może jaki służący z zamku, nie wiedząc o tem, kto się znajdował wewnątrz, a przekonany może, że tam jest jaka pokojówka, chciał sobie zażartować. Zaczęła więc szarpać klamką, ale nadaremnie. Drzwi się nie otworzyły.

Biła piąstkami w drzwi, wołając:

— No, otwórzcież tam! — ale dreszcz zimny przebiegł jej ciało, kiedy uszu jej dobiegł znowu ów szatański śmiech. Poznała go; był to śmiech Ilony, kochanki jej męża.

I niespodziewanie przyszła jej myśl, że to Ilona również sprowadziła starego profesora, poleciwszy mu, aby ją za pomocą jadowitej żmii uśmiercił. Bezwątpienia wpadła znowu w pułapkę i to w pułapkę bez wyjścia.

Świadomość, że zwyciężyła ją podstępem rywalka, przyprowadzała ją do szaleństwa. Chciała wołać o pomoc, ale jakby jej nagle gardło zatkało, nie mogła z siebie głosu wydobyć. Nareszcie jednak odzyskała znowu energię i wytężywszy wszystkie siły, zawołała zrozpaczonym głosem:

— Na miłość Boską, otwórzcież! Przecie chyba nie macie zamiaru zamknąć mnie tutaj!

— Jesteś pani w więzieniu! — dał się słyszeć niemiły jakiś głos z zewnątrz. — W więzieniu i już nigdy nie będziesz i nie możesz być wolną! Wiesz pani przecie, że to niebezpieczna historya mięszać się w cudze tajemnice.

W pierwszej chwili sądziła Erna, że prześladuje ją jakiś zły sen, ale kiedy teraz dobiegł znowu jej uszu głos jej nieprzyjaciółki, ten twardy, niemiły, surowy głos, zrozumiała, że od tej kobiety niczego spodziewać się nie może.

Mimo to jednak zdecydowała się spróbować, czyby się jej nie dało poruszyć. Prosiła więc błagalnie:

— Zlituj się pani i otwórz pani drzwi! Ja pani nawet przyrzeknę, że pani zostawię człowieka, którego pani kocha, bo ja mam stanowczy zamiar rozwieść się z nim.

Przerwał jej znowu szyderczy śmiech.

— Na co mi się to przyda? — odparła Ilona szyderczo — ja chcę nie tylko twego męża ale i twoich pieniędzy. Wobec tego, że uczyniłam cię już na zawsze nieszkodliwą, mogę mówić otwarcie.

— Pomyśl pani, że Bóg, który wszystko widzi, strasznie panią za to ukarze, gdy nadejdzie dzień sądu. A dzień ten przyjdzie prędzej, aniżeli pani się spodziewa — wołała nieszczęśliwa Erna na pół z płaczem, a potem ciągnęła dalej:

— Przecież w zamku spostrzegą moją nieobecność, każą mnie szukać; pokojówka moja wie, że poszłam do ruin, więc mnie znaleźć muszą!

Znowu jej odpowiedział szyderczy śmiech Ilony.

— Że pani tutaj nie znajdą, o to już ja się postaram, możesz pani być pewną, pani hrabino Pardua. Ja teraz będę nosić to dumne nazwisko, ja będę panią zamku Schleinitz, podczas, gdy pani musisz tutaj umrzeć z głodu i z bólu. Tak, wiedz o tem, że cię nienawidzę, turkaweczko głupia. Wyglądałaś zawsze tak, jakbyś nie była zdolna wyrwać włosa z głowy i dlatego właśnie, dla tej twojej łagodności nienawidzę cię. Chcę cię zgubić, bo mógłbyś przyjść kiedy dzień, w którym Robert znowu by ciebie pokochał, a tego ja nie chcę i tego muszę uniknąć!

— Powiedziałam pani przecie — brzmiała odpowiedź Erny — że zostawiam ci hrabiego Pardue na wyłączną twoją własność. Po tem, co zaszło, ja z nim żyć ani mu przebaczyć nie mogę. Tak, ja pani przysięgam, że o tem, co mi pani teraz zrobić chciała, milczeć będę zawsze, przysięgam, ale uwolnij mnie pani stąd, na miłość Boską!

— A choćbyś mi i sto razy nawet przysięgała na wszystko, co dla ciebie najświętsze, to jednak stąd cię już nie puszczę. Mogłabyś się kiedy wygadać na śnie lub w gorączce, albo, ja nie wiem zresztą kiedy. Nie trudź się i nie mów więcej, bo to wszystko na nic się nie przyda, nadarmo!

Erna upadła na kolana i głowę przycisnęła do drzwi. Słyszała, jak kroki coraz bardziej się oddalały, jak coraz słabszem brzmiały echem Potem owionęła ją cisza, cisza śmiertelna. Serce jej tłukło się, jak ptak w klatce, a zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Wielki Boże, cóż się ze mną stanie?! — mówiła, łkając.

Opanowała ją taka straszna trwoga, taki bezmierny lęk, że bała się poruszyć nawet i klęczała tak przy drzwiach, załamawszy ręce, z rozpuszczonymi włosami, blisko pół godziny.

Zrozumiała. Jeżeli z tego strasznego pokoju rzeczywiście nigdzie drugiego wyjścia nie było, to była zgubioną. Czekała ją śmierć i to śmierć okropna, najokropniejsza ze wszystkich, bo śmierć głodowa.

Czemże ona sobie na taki los zasłużyła? Cóż popełniła tak strasznego, że ją Bóg tak ciężko ukarał?

Po chwili wstała.

Może jednak będzie jeszcze można wydobyć się stąd. Postanowiła zbadać dokładnie wszystkie ściany. Jedyne małe okienko zakratowane było silnie tak, że o ucieczce tą drogą nawet mowy być nie mogło. Zamknięte drzwi dębowe, przekute żelaznemi sztabami, już zardzewiałemi, były dla niej, jak mur, który ją dzielił od świata. O wywaleniu ich nie było co myśleć. A więc wyjścia nie było!

Łkając, upadła na słomę i załamała ręce.

— Boże mój! — modliła się. — Ty widzisz moją nędzę. Tyś przecie miłosierny, ześlij mi radę, ześlij mi pomoc! Wszechmocny Panie, dopomóż mi, wołam do ciebie złamana bólem. Ty jeden możesz to zrobić, bo Ty jesteś mocarz! Ty jeden możesz mnie uwolnić. Otwórz drzwi mojego więzienia, o Panie!

Klęczała tak długo w głębokiej, serdecznej pogrążona modlitwie. Musiało już być bardzo późno, bo w celi mrok już panował zupełny.

Modlitwa dodała jej sił, bo modliła się z taką dziecięcą ufnością, na jaką tylko jej dobre, czyste serce zdobyć się mogło.

Otaczała ją noc. Nie była zabobonną, jednak kiedy przypomniała sobie te wieści, jakie o starej ruinie krążyły wśród ludu i służby zamkowej, serce jej ścisnęło się obawą i niepokojem. Pocieszała ją tylko jedna myśl, że Bóg jest przy niej.

Położyła się na słomie i z zapartym oddechem zaczęła nasłuchiwać. Była przekonana, że już najbliższa minuta przyniesie jej coś strasznego.

Ale nie zaszło nic, chociaż uchem śledziła najmniejszy szmer. Tylko myszy, które w takich miejscach chętnie sobie obierają siedlisko, skakały naokoło niej.

Jakżeż długo, jak nieskończenie długo trwała ta noc! Zdawało jej się, że lata całe mijają, tak powoli upływały godziny. Odetchnęła, kiedy przez zakratowane okienko przedarł się nareszcie pierwszy promień świtu.

Zaczynał się nowy dzień. Czy on jej przyniesie ratunek?

Słońce podniosło się coraz wyżej.

Erna przysunęła znaleziony w celi kamień pod okno i stanąwszy na nim, spróbowała wyjrzeć na pole.

Na dole, we wsi, zaczynało się życie. Na podwórza chałup wychodziły dziewuchy, ocierając rękoma sen z oczu, szły do stajni, aby wydoić krowy, bo wozy, mające mleko odwieść do miasta, już stały w pogotowiu.

Zapowiadał się dzień piękny, pogodny. Na niebie, niesplamionem ani jedną chmurką, płynęło w tryumfie słońce, rzucając na ziemię potok przeczystych, jasnych promieni, jakby z głowy Cheruba niebieskiego porwanych.

Z jednej z chałup wyjechał wieśniak, znany jej dobrze z tego powodu, że dosyć często bywał w zamku, jako opiekun jej pokojówki. Poznała go, a widząc, że przejeżdża tuż obok ruin, zawołała ku niemu:

— Michale!

Zeskoczył z kozła i wpatrzył się zdziwiony w ruiny Ogarnęło go przerażenie Więc rzeczywiście w pustelni błądził potępiony duch!? Włosy mu stanęły na głowie.

— Michale! — usłyszał raz jeszcze.

Przerażony zasłonił oczy przed słońcem i wpatrzył się w stronę, z której głos dochodził. Zdawało mu się, że go wzrok łudzi, bo w zakratowanem okienku zobaczył wydłużoną, zbolałą, bladą twarz kobiecą. Krzyknął, wpadł na kozioł i jak szalony zaczął okładać konia, nigdy zresztą nie katowanego. Biedne stworzenie stanęło dęba, a potem, również widocznie przerażone, zaczęło pędzić, jakby gnane jakąś niewidzialną siłą.

Michał odetchnął dopiero, kiedy zapadające się ruiny znikły mu z oczu tak, że ich już nie mógł zobaczyć.

A tam, w celi, za zakratowanem okienkiem, biedna, znużona kobieta, runęła z przeraźliwym krzykiem, nieprzytomna na ziemię.

— — — — — — — — — — —

W krytej szklanym dachem aranżeryi, z widokiem na wspaniały park, w którym szumiały stuletnie dęby i buki, leżała na dywanie w szatańsko iście kuszącej pozycyi Ilona.

Wiosenne powietrze płynęło przez otwarte okna. Lekki, orzeźwiający wiatr muskał swem tchnieniem śliczną główkę szatańskiej tej kobiety.

Leżała wygodnie, popijając szampana i paląc cygaro. Od czasu do czasu wybuchała sama pustym śmiechem i rozmawiała ze sobą półgłosem.

— Tego łotra Marcelego nareszcie się pozbyłam. Gdzieby on przypuszczał, że liścik Erny do Stürmera dojdzie w moje ręce? Jemu się zdawało,

że jak mnie rzuci na łóżko, to już wszystko przepadło! O nie, braciaszku! Pomyliłeś się trochę.

— Haha! – śmiała się sama do siebie — gdyby ona wiedziała, że to ja jestem autorką listu, jaki otrzymała, to z pewnością nie byłaby chyba przyszła na randkę. Ale lepiej się stało, że przyszła. Siedzi ona tam teraz i nuci gorzkie żale. Nie mogłam już sobie dać rady, musiałam pozbyć się mojej rywalki, chcąc sobie zabezpieczyć wolne i szczęśliwe życie na przyszłość.

Znowu napiła się szampana, a w oczach jej zabłysły ogniki, błędne, ale demonicznie groźne. Widocznie już za dużo wypiła.

W tej chwili doniesiono jej, że jakiś chłop ze wsi chce się koniecznie z nią widzieć, bo ma dla niej jakąś nadzwyczaj ważną wiadomość. Kazała go przyprowadzić i podniosła się trochę, kiedy wszedł. Chłopina zakłopotany miął czapkę w ręku i stał na progu, nie śmiejąc się odezwać.

— No, chodźże bliżej — rzekła Ilona, bo bawiła ją bezmyślna, gapiowata twarz jego. — Mówcież, czego chcecie.

Był to właśnie opiekun pokojówki Erny, Michał.

— Przepraszam jaśnie panią — zaczął — ale to ja właściwie chciałem do pana hrabiego!

— Hrabiego Pardny niema obecnie w zamku, ale jeżeli mu macie coś powiedzieć, to możecie to powiedzieć mnie; to wszystko jedno.

Biedak kłopotał się przez chwilę, jak ma wypowiedzieć to, co chciał i z czem przyszedł.

Wreszcie jednak nabrał otuchy i zaczął mówić:

— Jaśnie pani — mówił, trąc ręką czoło — w ruinach znowu coś pukało.

Przestraszył się formalnie, widząc, że Ilona na te słowa wybuchła serdecznym śmiechem i jednym susem zerwała się z dywanu.

— Człowiecze! — zawołała. — Chyba wam się przyśniło!

— Może mi pani wierzyć, pani hrabino — odparł stary, widocznie urażony. — Cała wieś jest poruszona, słyszano znowu dzwonienie... Ale ja widziałem jeszcze coś gorszego!

Ilona nagle spoważniała.

— Widziałeś? — spytała sucho. — No i cóżeś takiego widział?

Stary spojrzał na nią prawie z trwogą.

— Ja nie chciałem powiedzieć nic złego — odparł skromnie — ale kiedy dzisiaj rano, jadąc z mlekiem do miasta, przejeżdżałem około ruin, usłyszałem nagle, że mnie ktoś woła po imieniu, trzy razy to słyszałem. Głos brzmiał tak dziwnie, że nie potrafię tego jaśnie pani wytłómaczyć, ale brzmiał tak, jakby gdzieś z grobu pochodził. Michale! — wołało — Michale! — i jeszcze raz — Michale!

— Wierzcie mi, stary, że wam się to tylko przyśniło. Bo to jest przecie niemożliwe! I któżby tam zresztą wołał! A może sobie kto chciał żart urządzić?

Chłopina zaczął znowu miąć czapkę w ręce.

— Ba, żebym to ja jeno był słyszał, to jabym jaśnie pani uwierzył, że to chyba było we śnie. Ale przecie ja sam widziałem ducha!

Ilona znowu zaczęła się śmiać. Ale był to śmiech dziwnie wymuszony, czuć w nim było, że Ilona sama się czegoś boi.

— No, i jakżeż ten duch wyglądał? — spytała, jak mogła spokojnie, uśmiechając się na pozór z niedowierzaniem.

— Ach — odpowiedział Mikołaj — właściwie, to ja widziałem jeno twarz, twarzyczkę, przytulo ną do zakratowanego okienka, ale tak białą i wychudłą, z oczyma tak głęboko nasadzonymi, jakby w grobie nie mogła znaleźć spokoju. W pierwszej chwili, to ja zbaraniałem kompletnie, ale potem skoczyłem na wózek i odjechałem, co koń wyskoczy.

Ilona już od dawna odzyskała swój zwykły spokój, odparła więc:

— Wierzcie mi, mój dobry człecze; ktoś, znając was i wiedząc, jak jesteście zabobonni, musiał się ukryć w ruinach, aby wam przy sposobności napędzić porządnego stracha. Ale, żeby się to już więcej nie zdarzało, każę zamurować drzwi wchodowe do ruin. No, wystarczy wam to?

— Tak, to jest — ale — odparł chłopina — ale możeby to było dobrze, gdyby mi jaśnie pani była łaskawą zezwolić, ażebym ja z kilku uzbrojonymi ludźmi poszedł do ruin i gruntownie je przeszukał. Bo chciałbym temu strachowi wleźć na pięty.

Ilona zaczerwieniła się, a oczy jej sypnęły skrami.

— To sobie możecie spokojnie darować; tegoby jeszcze brakowało, żeby całą wieś nastraszyć! Każę drzwi zamurować i na tem koniec! A teraz możecie odejść!

Chłopina odszedł, w drzwiach jeszcze raz się obrócił, jakby coś jeszcze chciał powiedzieć, ale, widząc, że Ilona znowu się położyła na dywanie, poszedł ku wsi, omijając jednak zdaleka ruiny.

Ilona zaś napiła się znowu szampana, a białe jej czoło pokryło się fałdami.

— Najwyższy już czas, żeby hrabina przeniosła się na tamten świat, bo inaczej będą mi chłopi urządzali awantury — mówiła sama do siebie. — Jeszcze dzisiaj w nocy muszę tam zajrzeć, zobaczyć, co się z nią dzieje. Jeżeli pożyje dłużej, jak trzy dni, to trzeba ją będzie otruć, chociaż nie wiem, w jaki sposób podać jej truciznę.

W tej samej chwili drzwi oranżeryi się otworzyły, a w nich ukazał się hrabia Pardua. Ilona zerwała się, z kokieteryjnym uśmiechem pobiegła ku niemu i zarzuciła mu na szyję swe różowe, toczone ramiona.

On jednak dzisiaj nie podziękował jej pocałunkiem, ale nawet z pewną niechęcią chciał się uwolnić z jej objęć.



....upadła na kolana i głowę przycisnęła do drzwi. Słyszała, jak kroki coraz bardziej się oddalały, jak coraz bardziej słabszem brzmiały echem. Potem owionęła ją cisza....

— Powiedzno mi, gdzie jest Erna? Pokojówka jej szuka już od wczoraj od drugiej po południu. Przecież nie zrobiłaś znowu głupiej jakiej awantury. Bo to, żeśmy wtedy, kiedy twój brat zarządził scenę z indyjską żmiją, wyszli zupełnie sucho i bez kłopotów, to tylko los szczęśliwy.

Ilona aż wargi zagryzła.

— Czyż nie powiedziałeś mi sam, że Ernę musimy sprzątnąć ze świata? Chciała się z tobą rozwieść i wzywała na pomoc doktora Stürmera i tajnego detektywa Steina!

— Kogo? — zapytał hrabia przerażony, jak gdyby dobrze nie słyszał — doktora Stürmera?

— Tak jest! I mnie musisz zawdzięczać, że list nie doszedł do właściwych rąk. Wiesz, co to za pies ten Stein; gdyby on był ten list przeczytał, bylibyśmy oboje straceni!

Mówiąc to, wyjęła z kieszeni list odpieczętowany i podała go kochankowi. Ten aż zbladł, czytając go.

— Ale cóżeś zrobiła z moją żoną? — zapytał, obawiając się nieostrożności z jej strony.

Ilona pochyliła główkę i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

Pardua aż cofnął się w tył i zaczął patrzeć na nią przerażony.

— No? — zapytała swobodnie i tak lekko, jakby to chodziło o załatwienie jakiego drobnego interesu, ale nie o życie ludzkie, poczem ciągnęła dalej:

— Musisz teraz przecie sam przyznać, że ona musiała zniknąć; przeciaż ona nam obydwojgu zawadzała i przeszkadzała.

— Ale czyż nie było jakiego innego środka, jak — zagłodzenie — to przecież straszne!

— Odkądże ty tak mówisz? — zaczęła drwić — może ci sumienie robi wyrzuty — no, czas jeszcze jest, możesz ją przecie uwolnić i szczęśliwie aż do śmierci z nią żyć, ale wtedy — dodała, prawie sycząc, cała czerwona — wtedy strzeż się przed Iloną Barrison!

Pokazała mu teraz swą twarz bez maski Myśl, że on jej nie kocha, zmieniła ją do niepoznania.

— Uspokójże się — rzekł Robert, patrząc nie bez obawy na tę kobietę, pełną demonicznej siły. Wiedział dobrze, że trudnoby mu przyszło uwolnić się kiedy od tej dawnej baletnicy, a zresztą myślał sobie, że dobrze się stało, jeśli tylko udał się Ilonie jej plan. Jakimi środkami ona doszła do celu — to go już nic nie obchodziło, było mu to najzupełniej obojętne.

To też kiedy zobaczył ją wieczorem przez okno, idącą przez park, zrozumiał, że ona idzie zobaczyć swoją ofiarę, ale nie ruszył się, aby ją powstrzymać.

Tymczasem Ilona szła bez obawy po ciemnych alejach parku, otulona w czarny płaszcz, z głęboko na czoło nasuniętym kapturkiem. Pod płaszczem ściskała kurczowo w ręku rewolwer, bo na każdy wypadek chciała być bezpieczną; a bała się, czy nie spotka znowu jakiego upiora na drodze.

Nie spotkała jednak nikogo.

Nawet kiedy przechodziła przez ciemny refektarz, w którym każdy jej krok głośnem odbijał się echem, panowała zupełna cisza, ale tu opanował ją głuchy lęk. Dreszcz przebiegł całe jej ciało; szybko pobiegła więc ku obitym żelazem drzwiom dębowym i zapukała do nich, poczem ucho przyłożyła tuż do drzwi.

Usłyszała natychmiast szelest słomy, jakby się ktoś podnosił z posłania, a po chwili rozległ się głos, ale tak pełen boleści i rozpaczy, że nawet kamienie by wzruszył:

— Zlituj się, ktokolwiek tam jesteś, pomóż mi, wyratuj mnie z tego więzienia!

A kiedy Ilona w odpowiedzi na to wybuchła szyderczym śmiechem, rozbrzmiało w celi długie, bolesne westchnienie. Ilona, nie zważając na głos sumienia, a może właśnie dlatego, pędem uciekła z refektarza.

Ta kobieta miała chyba kamień tam, gdzie zwykli ludzie mają serce; nie myślała ona zupełnie o tem, na jakie długie i jak niewypowiedzianie straszne męki pozostawiła młodą hrabinę. Jakżeż okropnie, jak boleśnie musiała się biedaczka rozczarować, kiedy sądziła, że dla niej ratunek przychodzi, a usłyszała szatański śmiech swej najzaciętszej nieprzyjaciółki, która przyszła tylko po to, aby się jej cierpieniem rozkoszować.

Nieludzka kobieta pobiegła na zamek. Tak, ona mogła spokojnie i wesoło zjeść kolacyę, chociaż wiedziała, że w tej samej chwili ofiara jej leży zgłodzona na ziemi i załamując ręce, Boga tylko błaga o ratunek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sieroty po ofiarach rozruchów antyżydowskich.

Podczas krwawych rozruchów antyżydowskich, których widownią były miasta rosyjskie: Kiszyniew, Jekaterynosław, Odessa, Białystok, straciło życie wielu ojców rodzin, a dzieci ich pozostały nietylko bez opieki rodzicielskiej, ale i bez jakiegokolwiek mienia, bez dachu nad głową. Smutnym losem sierót po ofiarach rozruchów, zajęły się komitety żydowskie nietylko w Rosyi, ale i zagranicą, a na skutek odezw, przez te komitety wydanych, znalazło się wiele rodzin żydowskich we wszystkich krajach, gotowych przyjąć sieroty w swój dom i zająć się ich wychowaniem i ich przyszłością.

Wobec tej gotowości, jaką okazali żydzi zagraniczni, komitet przystąpił do przewiezienia sierót z Rosyi do miejsc, w których one mają znaleźć przytułek. W środę wieczorem ubiegłego tygodnia przybyły do Lwowa te nieszczęśliwe istoty w dwu partyach, jedna od Brodów, druga od Podwołoczysk, razem w liczbie około 100 i zostały pomieszczone w szkole im. Kohna.

Przyjazd dzieci zapowiedziany był przez dzienniki lwowskie, to też na spotkanie nieszczęśliwych sierót wyszły tysiące publiczności, przeważnie żydowskiej, a w ulicy św. Stanisława, gdzie znajduje się wspomniana szkoła im. Kohna, tłum był tak liczny, że dziatwa ledwie przecisnąć się mogła.

Z dziatwą przybyli delegaci komitetu berlińskiego pp. dr. Kahn i Bergel, dalej z Frankfurtu znana filantropka i działaczka żydowska p. Pappenheimówna, nadto kilka osób z komitetów miejscowych. We Lwowie zawiązał się również komitet z p. Samuelem Horowitzem na czele i komitet ten opiekował się bardzo gorliwie biedną dziatwą, dostarczał jej zabawek, wystarał się o pościel na noclegi, uprosił kilku lekarzy, by zbadali stan zdrowia młodych emigrantów. Mimo uciążliwej podróży, mimo spiekoty, stan zdrowia dziatwy okazał się zupełnie zadowalający, a tylko znużenie i bojaźń przebijała się w twarzach sierót. Było to zupełnie naturalne, gdy się zważy, że większość dzieci, to drobiazg w wieku 3—8 lat; starszych dzieci nie wiele. Uwagę zwraca kilka dziewcząt starszych, które opiekowały się młodszą dziatwą, a które odznaczały się piękną urodą. Zwłaszcza jedna z nich była uderzająco piękną: smagła, zgrabnie zbudowana, o czarnych jak heban włosach a dużych szafirowych oczach.

Sieroty bawiły we Lwowie prawie cztery dni, spędzając czas w szkole im. Kohna. Korzystając z pogody i ciepła, bawiły się przez całe dnie na podwórzu, pod dozorem starszych dziewcząt i pań z komitetu.



Fotografował w szkole im. Kohna Borzemski.

Sieroty ofiar rozruchów antyżydowskich: Bawiące we Lwowie sieroty żydowskie, których rodzice poginęli w pogromach w Jekaterynosławiu, Kiszyniewie, Odesie i Białymstoku.

Gentaro Kodama.

Przed trzema dniami zmarł nagle w Tokio intelektualny kierownik kampanii japońskiej przeciwko Rosyi, szef japońskiego sztabu jeneralnego, jenerał Gentaro Kodama.

Schodzi z nim do grobu jeden ze strategików najdzielniejszych, jakich wydały ostatnie czasy.— Głównie dzięki Kodamie armia japońska — jakkolwiek nie wiedziała o nim prawie — stanęła na równi z najlepszemi wojskami Europy. Sławie takich wodzów jak Ojama, Kuroki, Oku, Nogi lub Nodzu bynajmniej to nie uwłacza, że duchowym kierownikiem całej kampanii był jednak Kodama. On to stworzył plan całej wyprawy, on obmyślał ruchy armii japońskiej na widowni wojennej Korei, pod Portem Artura i w Mandżuryi, a Japonia dumną być może, iż Kodama znalazł tak wybornych wykonawców swych wskazówek.

Podziwiać istotnie wypada rozległy horyzont, jaki obejmował Kodama. A nie poprzestawał on bynajmniej na zaznaczeniu ogólnych ram akcyi; niestrudzony i niesłychanie pomysłowy, brał w rachubę wszystkie możliwości, to też żaden z jego planów nie zawiódł, a wszystkie w harmonijnym pozostając związku, doprowadziły do zupełnego rozbicia przeciwnika na wszystkich polach.

Mikado wysłał Kodamę na plac boju w lipcu 1904 r. Operujące wówczas oddzielnie armie gen. Kurokiego i Oku już prawie zjednoczyły się były, stawiając czoło napierającemu Kuropatkinowi, aby mu zadać cios rozstrzygający. Ponieważ odtąd jednolite kierownictwo armii było konieczne, powierzono je Oyamie, przydzielając temu wojownikowi do boku twórcę wojennego planu, wówczas zastępcę szefa sztabu generalnego, Kodamę. Odtąd staje się on duszą kampanii, aż do chwili, gdy z niewyjaśnionych na razie przyczyn przyszło między Kodamą a feldmarszałkiem do ostrego konfliktu. Było to pod koniec r. 1904. Zawiadomiony o zatargu Mikado odwołał Kodamę. Wyniesiony do godności szefa sztabu jeneralnego, kierował i nadal operacyami, ale nie powrócił już do walczącej armii.

Kodamy genialna strategia zbierała pierwsze tryumfy w wojnie japońsko-chińskiej. Wówczas był on zastępcą ministra wojny. Oyama zaś, jako szef ministerstwa, poznawszy się na niezwykłych zdolnościach swego podwładnego, wysłał go do armii, która przed dwunastu laty zdobyła Port Artura. Już wtedy z prawdziwem wirtuozostwem grał on na krwawych strunach wojny, aż wygrał wielki hymn zwycięstwa. I gdy szło o to, by wyspę Formozę, właściwą zdobycz kampanii z roku 1894/5, jak najrychlej wcielić w skład państwa Mikada, zajął on po Oyamie, wówczas chorym (1898) stanowisko gubernatora Formozy. Przez lat 5 pozostawał na tem odpowiedzialnem i trudnem stanowisku. Opuścił je w roku 1903, aby objąć tekę spraw wewnętrznych. Gdy wybuchła wojna z Rosyą, porzucił politykę i jął się właściwego swego zawodu, wstępując napowrót do armii w charakterze zastępcy szefa sztabu jeneralnego.

Podczas gdy więc inni jenerałowie przebywali na placu boju, Kodama pozostał w urzędowym gabinecie w Japonii, dniem i nocą pochylony nad biurkiem nad mapami i papierami, bez rekompesaty w formie sławy, zdobytej na polu bitwy, bez tej ulgi, jaką jest wyładowanie siły nerwowej w bezpośredniej walce.

O rozmiarach jego pracy da wyobrażenie, że zadaniem jego było układać najogólniejszy plan kampanii, obliczony na wszystkie tereny walki równocześnie, pilnować jego przeprowadzenia, dbać o to, aby pomiędzy działaniem jenerała Oyamy, a jenerała Nogiego, admirała Togo i admirała Kamimury, istniała bezustanna organiczna łączność, aby działanie jednego nie tylko nie krzyżowało działania drugiego, ale ażeby je wspierało, biorąc nawzajem od niego poparcie.

Kodama zmarł w 54 roku życia. Wywodził on się z szlacheckiego rodu Czensu, był samurajem, ale rodzina jego pozostawała w opłakanych stosunkach, skutkiem czego nie nabył europejskiego wykształcenia. Już jako dojrzały mężczyzna mu-



Fotografował w szkole im. Kohna Borzemski.

Sieroty ofiar rozruchów antyżydowskich: Bawiące we Lwowie sieroty żydowskie, których rodzice poginęli w pogromach w Jekaterynosławiu, Kiszyniewie, Odesie i Białymstoku.

siał z całym wysiłkiem pracować nad usunięciem tego braku.

W dziejach Japonii, pozostanie zawsze jako jeden z wielkich, jeden z tych, którym należy się wdzięczność ojczyzny.



Majsterski kurs krawiecki w Krakowie: Wykształcony zagranicą mistrz krawieczyzny, Jan Łopatka, kierownik obecnego kursu majsterskiego dla krawców krakowskich.

Majsterski kurs krawiecki w Krakowie.

Jeszcze w czasach średniowiecznych zastrzeżone było w cechach rzemieślniczych osobnemi przepisami mistrzowstwo w obranym zawodzie. Wiadomo powszechnie, że terminatora wypisywano na czeladnika, a czeladnika na majstra jedynie na podstawie dobrze wypracowanej sztuki z zakresu swego zawodu, czyli tak zwanego majstersztyku. To było dla rzemieślników bodźcem do pokazania swej wiedzy i świadomości swej sztuki aż do pewnego zakresu artyzmu. W czasach dzisiejszych tradycya ta, jak wiele innych, zginęła w niepamięci fali, o majstersztykach wyzwolinowych już nie słyszymy.

Ażeby zatem robotnikom krawieckim polskim dać łatwą możność do wykształcenia się i szerszego pojęcia swego rzemiosła, aż do artystycznego wydoskonalenia się w niem, utworzono w Krakowie w roku bieżącym majsterski kurs krawiecki w rodzaju kursów dopełniających.

Kurs krawiecki, zaprowadzony dzięki staraniom i z pomocą prezydyum magistratu miasta Krakowa, Wydziału krajowego i Izby handlowo przemysłowej w Krakowie, a poparty przez ministeryum handlu i przemysłu w Wiedniu, rozpoczął się pod kierunkiem jednego z krakowskich, za granicą wykształconego majstra krawieckiego, specyalistę, praktyka i teoretyka w swym fachu, p. Jana Łopatki, którego fotografię zamieszczamy obok.

Dotychczas odbywały się podobne kursa pod kierunkiem przyjeżdżającego z Wiednia nauczyciela kroju. Ponieważ jednak wykłady odbywały się w języku niemieckim lub czeskim, nieznanym większej części krawców, słuchacze nie mogli z nich należycie korzystać, tak, że nawet zniechęcili się — zupełnie słusznie — do uczęszczania na kursa.

Obecny kurs, prowadzony przez p. Łopatkę, polega na teoretycznej i praktycznej nauce kroju, w zakres krawieczyzny męskiej wchodzącego. P. Łopatka, posiadając gruntowne w tym zawodzie wykształcenie, dokłada energicznych starań, aby uczestnicy kursu odnieśli zeń jak największe korzyści. Wrodzone zdolności, zwięzłość, jędrność i jasność wykładu, popartego praktycznem doświadczeniem, każą p. Łopatce spodziewać się pomyślnych swojej pracy rezultatów.

Że kurs krawiecki, taki jak obecny, w języku polskim pod kierunkiem Polaka fachowca, jest potrzebny i pożyteczny, o tem świadczy choćby tylko liczba uczestników kursu. Kurs taki daje bowiem krawcom krakowskim możność wykształcenia się w swoim rzemiośle, taką, jaką mają krawcy w Niemczech, Francyi i wogóle za granicą. Każde rzemiosło, traktowane z zamiłowaniem, a oparte na podstawach szerszej wiedzy i nauki, może przy dokładzie pilności uczestników, przy tak jak obecnie, sprzyjających warunkach, stanąć bardzo wysoko i przejść nawet w dziedzinę artyzmu. Ta myśl przyświecała aranżerom kursu, ta myśl przyświeca dzisiejszemu kierownikowi p. Łopatce i u-



Z krwawej kroniki ulic Warszawy: Grigorij Tobolcew porucznik z 3-go warszawskiego batalionu fortecznego, zabity na Podwalu w Warszawie.



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Majsterski kurs krawiecki w Krakowie: Krawcy krakowscy na kursie krawieckim podczas wykładów J. Łopatki, w sali kursów przy ul. Karmelickiej l. 49. W pierwszym rzędzie od strony lewej ku prawej, (tak jak patrzy Czytelnik): 1. S. Elsner z Podgórza. 2. T. Książczykiewicz. 3. F. Jarosz. 4. J. Bulanda. W drugim rzędzie: 1. J. Syska. 2 P. Kaliński. 3 S. Gągol. Dalej zaś stoją: 1. B. Eisler. 2. J. Bruzda. 3. J. Jurkowski. 4. Grzegorczyk. 5. Wł. Stabach. 6. A. Ciapała z Łańcuta. 7. L. Tatka. 8. L. Marczyński. 9. A. Latasiewicz 10. A. Hyży. 11. L. Dąbczyński.

czestnikom kursu. Życzyćby sobie należało, aby wszyscy krawcy, nie poprzestając tylko na swej technicznej biegłości, nie zaniedbali sposobności korzystania z wymienionego wyżej kursu, by nabrać szerszego pojęcia i gustu artystycznego w swym zawodzie.

Na załączonej dziś illustracyi, przedstawiona jest fotografia kursu majsterskiego w czasie nauki, w lokalu kursu przy ul. Karmelickiej l. 49. Przy stołach zasłanych papierami rysunkowymi, zasiedli krawcy, z miarami, przewieszonemi przez szyję i słuchają wykładu p. Łopatki, który wykład illustruje znakomitym, a na naszej rycinie widocznym rysunkiem na tablicy. Na ścianie widać figury, mające za cel wskazanie, jak trzeba krajać ubranie dla człowieka pochylonego, przegiętego w tył itd. Jest też lalka, służąca do ćwiczeń praktycznych.



Fot. zakład J. Raczyńskiego, Warszawa.
Zgładzenie niebezpiecznego bandyty: Władysław Pawłowski vel Pol, bandyta zabity przez bojowców na ulicy Piekarskiej pod Nr. 14, w Warszawie.



Król kopalniany: Zmarły w Londynie Alfred Beit, właściciel 70 kopalń złota, który w południowej Afryce na dyamentach i złocie dorobił się majątku dwa i pół miliarda koron.

Z krwawej kroniki ulic Warszawy.

Przed kilku dniami na Podwalu w Warszawie, jakiś mężczyzna strzelił do rewirowego, chybił jednak i rewirowy zbiegł. Wówczas wykonawca zamachu usiłował uciec, w tejże jednak chwili nadbiegł porucznik Tobolcew i chciał go zatrzymać. Padł jednak strzał, dany widocznie przez towarzysza wykonawcy zamachu i Tobolcew runął na chodnik, śmiertelnie ranny kulą w głowę.

Pożar w Zakopanem.

W sobotę w południe wybuchł w Zakopanem pożar w domu Józefa Gąsienicy i pochłonął go w zupełności. Że pożar się nie rozszerzył, zawdzięczyć należy spokojnemu powietrzu, tudzież drzewom, które dom gęsto okalały — straż pożarna bowiem, która przybyła na miejsce pożaru w 3 kwadranse po wybuchu, wzięła się do rzeczy z dziwnym brakiem wprawy. Przyczyną pożaru miało być rozpalenie za pomocą nafty ognia pod kuchnią.

Przy tej sposobności podnieść należy, iż tak władze gminne, jak i klimatyczne nie przestrzegają należycie przepisów policyjnych i ogniowych, które tutaj szczególnie powinny być zachowywane, albowiem domy wszystkie są drewniane i łatwo zapalne — a ze względu na wielką ilość letników niebezpieczeństwo groźniejsze. Na poparcie twierdzeń powyższych, wystarczy właśnie dopiero opisany pożar, do którego zlokalizowania nie było pod ręką żadnej osęki, ani też wiaderek.

Dom padły ofiarą płomieni wybudowany został w r. 1834 i był nadzwyczaj silnie zbudowany. — Właściciel należy do ludzi zamożniejszych i nie odczuje bardzo straty, jakkolwiek budynek nie był zabezpieczony.

Zgładzenie niebezpiecznego bandyty.

Od kul bojowców jednej z partyi padł w tych dniach w Warszawie niesłychanie zuchwały i niebezpieczny bandyta, zbieg z Sachalinu. Zamieszkał on przed 3 miesiącami na ul. Piekarskiej pod nr. 14, jako Władysław Pawłowski, gdzie odnajmował pokój w mieszkaniu nr. 4, od p. J., wdowy. Pawłowski przy wynajmowaniu mieszkania przedstawił się jako kawaler, lecz po trzech dniach sprowadził jakąś młodą kobietę, którą nazwał swoją żoną. Lokator ubierał się zawsze nadzwyczaj elegancko, choć zauważono, że często się charakteryzował: przyprawiał sobie brodę, golił wąsy, nakładał binokle, których stale nie nosił. Codziennie ubierał się w inny kostyum — czasami niezwykły. Pewnego razu np. przyszedł do domu, przebrany za dorożkarza, innym znów razem za posłańca; kiedyś znowu zjawił się przed gospodynią ucharakteryzowany na nożowca, z ogromnym nożem w ręce. Nie pracował nigdzie. Wylegiwał się w łóżku do południa, a wieczorami przebywał w towarzystwie alfonsów z dzielnicy staromiejskiej. Życie jego z żoną, choć niedługie — było pasmem cierpień dla nieszczęśliwej kobiety. Przypominają sobie zapewne Czytelnicy wzmianki, zamieszczone przed trzema miesiącami w pismach pod tytułem: „Przykry sen“: „Z okna domu nr. 4 przy ul. Piekarskiej wyskoczyła na bruk uliczny mężatka, niejaka Pawłowska. Odwieziono ją do szpitala św. Rocha. Wypadek spowodował przykry sen, jaki miała Pawłowska. Śniło jej się, że napadło na nią kilku mężczyzn i ze strachu przed nimi wyskoczyła w śnie przez okno“. Okazuje się, że notatka ta, zaczerpnięta z ust nieszczęśliwej kobiety i jej męża — zawierała kłamstwo.

Pawłowski po prostu mordował swą rzekomą żonę: kłuł ją szpilkami, kopał, wyrywał jej włosy. Gdy kat wychodził z domu, nieszczęśliwa kobie-



Echa Dumy: Jak żyli w Petersburgu włościańscy posłowie do Dumy: wspólny obiad.

ta, zapłakana, skarżyła się sąsiadom; aż wreszcie, po trzech dniach pożycia, gdy bandyta, wróciwszy nad ranem, zaczął się pastwić nad swą ofiarą, Pawłowska w rozpaczy wyskoczyła przez okno. Opryszek, po tym wypadku, z cynicznym uśmiechem wyszedł na miasto, uprzedziwszy domowników, że: „jeżeli kto słowo piśnie — dostanie nożem w bok“.

Przed paru tygodniami Pawłowski wrócił do domu zafrasowany i oznajmił gospodyni, że dziś go zabiją i że będzie o nim wzmianka w „Kuryerze“.

I rzeczywiście w nr. 183 jednego z pism, z dn. 5 lipca r. b., ukazała się następująca wzmianka: „Zagadkowe zajście. Wczoraj, o godz. 10 wieczorem, rozległy się strzały na rogu ul. Browar-



Nowy kierownik rządu w Rosyi, prezydent ministrów Stołypin.

nej i Leszczyńskiej. Przechodził tamtędy niejaki Władysław Pawłowski, do którego podeszło dwóch młodych mężczyzn i zapytało: kim jest i gdzie pracuje? W odpowiedzi na to, zaczepiony strzelił, ale chybił. Wówczas młodzi ludzie wydobyli rewolwery i dali do niego 4 strzały, poczem odeszli. Ranionego trzema kulami w głowę, Pogotowie odwiozło w stanie beznadziejnym do szpitala, gdzie zmarł on dziś nad ranem. Znaleziono przy nim trzy książeczki paszportowe, jeszcze nie wypełnione nazwiskami".

Pawłowski przyszedł z tym „Kuryerem“ wieczorem do domu i, pokazując wzmiankę gospodyni, śmiejąc się, oznajmił, że wzmiankę tę podał sam do „Kuryera“, gdyż mu to „było potrzebne“.

W ostatnich czasach pił ciągle, jeździł na „gumach“ i stawał się bezczelnie zuchwałym. Gospodyni za mieszkanie nie płacił wcale, zaledwie wyżebrała od niego 6 rub. na rachunek komornego, za trzy miesiące. P. J. zmuszona go była karmić, ba, nie tylko jego, lecz i leżącą w szpitalu „żonę“. Gdy potrzeba mu było pieniędzy, otwierał za pomocą wytrycha szuflady od komody lub szafę i bez ceremonii zabierał bieliznę i rzeczy p. J., które



Echa Dumy: Jak żyli w Petersburgu posłowie włościańscy do Dumy: wieczór w mieszkaniu prywatnym.

sprzedawał. Na delikatne napomnienia właścicielki śmiał się cynicznie, lub groził nożem. Jednem słowem tak steroryzował kobietę, że drżała, ujrzawszy go w domu. Wyprowadzić się nie chciał, utrzymując, że mu u niej dobrze.

Przed dwoma tygodniami otrzymał jakąś kartkę i list od żony, w którym prosiła go, żeby ją odwiedził. Nie chciał pójść, mówiąc, że mu się nie chce.

W dzień wypadku od rana był niespokojny: wybiegał na ulicę — wracał z powrotem i mówił, że przyjdą do niego znajomi. O godz. 3 po połud. rzekł do gospodyni: „idą“, poczem stanął przy drzwiach, oparty o komodę z rewolwerem w ręku. P. J., strwożona stanęła za nim w kącie. Za chwilę do mieszkania weszło trzech mężczyzn. Zaledwie jeden ukazał się w drzwiach pokoju, Pawłowski strzelił doń, w tejże chwili rozległy się trzy strzały i bandyta rażony 3 kulami w twarz runął na podłogę.

Mężczyźni pośpiesznie wybiegli z mieszkania, znacząc drogę śladami krwi. Widocznie jeden z nich został przez P. raniony. Wezwano pogotowie i policyę. Doraźne badanie śledcze wyjaśniło, że bandyta jest zbrodniarzem, zesłanym przed paru laty za zabójstwo i rabunek na Sachalin. Właściwe jego nazwisko — Władysław Pol.

Po zagarnięciu przez Japończyków Sachalinu, przyjechał do Warszawy i przybrał nazwisko Pawłowskiego. Już po powrocie popełnił kilka zabójstw.

Na razie niewiadome są wszystkie jego sprawki. Stwierdzono tylko, że przed kilku laty w Wilnie, około więzienia, był aresztowany i podał się za Rosłońskiego. Odesłano go do miejsca zamieszkania w celu sprawdzenia tożsamości osoby. W drodze jednak do Płońska zabił prowadzącego go stróża i zbiegł. Aresztowano go znowu i tym razem stwierdzono, że nazywa się Władysław Pol. Za zabójstwo owego stróża skazany był na zesłanie na Sachalin, zkąd niedawno przyjechał do Warszawy i uchodził za Władysława Pawłowskiego, posiadając na to nazwisko paszport.

Być może, że dalsze śledztwo wykryje jego uczestnictwo w niejednym napadzie bandyckim. Tymczasem jednak zbrodniarza spotkała kara. Przy zabitym znaleziono świadectwo, wydane przez władzę w Sachalinie na przejazd do Warszawy, nadto pęk wytrychów i drążek do wyłamywania.



Zdegradowany skutkiem objawów buntu batalion pułku preobrażeńskiego gwardyi w Peterhofie.

Król kopalniany.

W Londynie umarł Alfred Beit, postać znana nie tylko na wszystkich giełdach świata, ale także za kulisami parlamentu. Beit, syn ubogich rodziców, przybył z Hamburga do Paryża, gdzie pracował u pewnego jubilera z Austryi. Gdy w Afryce odkryto pola dyamentowe, Beit z wypożyczoną drobną kwotą pieniężną wyruszył do Afryki ze swoim przyjacielem, a później wspólnikiem Wernherem. Z początku wiódł życie pełne trudów i niebezpieczeństw, ale rychło zaczął się na kopalniach dyamentów a później złota dorabiać majątku. Stanął na czele firmy „Beit. Wernher Sp.“ i miał w ręku 70 kopalń złota. Rozstrzygał nie tylko w sprawach techniczno-górniczych, ale trząsł giełdami, o ile chodziło o akcye kopalń złota. W polityce południowo-afrykańskiej brał za kulisami czynny udział, jako sprzymierzeniec słynnego Cecyla Rhodesa, zwanego Napoleonem Afryki, który zorganizował znany napad dra Jamesona na republikę Boerów, a później wywołał wojnę Anglii z Boerami. Należał do kwartetu południowo afrykańskich krezusów, utworzonego przez Rhodesa, zmarłego na suchoty, Barneya Barnato, który skończył samobójstwem, zięcia jego Woolfa Joela, zastrzelonego w Johannesburgu przez jakiegoś awanturnika, tudzież przez Beita. Zmarły przebywał na kuracyi w Wiesbaden, skąd niedawno powrócił do Londynu, gdzie wkrótce wyzionął ducha. Ile wynosi majątek Beita, nie można w przybliżeniu nawet obliczyć. Szacują go na 60—100 milionów funtów szterlingów, to znaczy na 1.450 do 2.400 milionów koron, czyli od 1 i pół do 2 i pół miliarda. Beit umarł na suchoty w 53 roku życia.

Uroczysta rehabilitacya Dreyfusa.

W sobotę po południu na tak zwanym dziedzińcu Bateryjnym Szkoły wojskowej w Paryżu odbył się uroczysty akt ozdobienia majora Dreyfusa orderem Legii honorowej.

Uroczystość ta nie odbyła się na owym dziedzińcu, na którym dnia 5 stycznia 1895 r. został Dreyfus wobec wojska pozbawiony szarży oficerskiej, ale na mniejszym dziedzińcu Bateryjnym.

Już około godz. wpół do 2 po południu był dziedziniec szczelnie zapełniony prócz placu wolnego, który pozostawiono dla dokonania uroczystego aktu.



Rehabilitacya Dreyfusa: Generał Gillain dekoruje przed frontem majora Dreyfusa Legią honorową.

Przybyli bardzo licznie dziennikarze i literaci, między nimi Anatol France, Alfred Capus, Armand Dayrt i inni.

W koszarach artyleryi, które wychodzą na dziedziniec, były wszystkie okna obsadzone.

Przez jedno z nich wyglądała Lucya Dreyfus, żona majora Dreyfusa z matką panią Hadamard, z synem Piotrem, liczącym 16 lat życia, tudzież młodszą od niego córką.

Ogólną uwagę zwracał na siebie generał brygady Picquart, który należy do głównych inicyatorów rehabilitacyi Dreyfusa.

Nie brakło oczywiście i fotografów.

Gdy przybył Dreyfus w nowym mundurze majora, powitał go serdecznie major Targe, który około wyświetlenia sprawy Dreyfusa położył wielkie zasługi i równocześnie z Dreyfusem otrzymał Legię honorową.

Wkrótce rozpoczęło się ustawianie oddziałów wojskowych. Stanęły w szeregu: 2 pułk kirasyerów, szwadron 1 pułku kirasyerów i baterya konnej artyleryi. Wszystkie oddziały stanęły pieszo.

Na skrzydle artyleryi stanął major Dreyfus i na komendę pułkownika Gaillard-Bournzell wszystkie oddziały wydobyły pałasze, a to samo uczynił i major Dreyfus.



Rehabilitacya Dreyfusa: Defilada wojsk przed Gillainem i dwoma nowymi kawalerami Legii honorowej: komendantem Dreyfusem (za generałem stoi w czapce) i komendantem Targem (obok Dreyfusa stoi w hełmie).

Następnie generał Gillain pośród przepisanego ceremoniału imieniem prezydenta republiki ozdobił majora Targe'a a potem Dreyfusa orderami Legii honorowej.

Publiczność wznosiła okrzyki na cześć Picquarta, Dreyfusa i armii.

Gdy po uroczystości Dreyfus wracał powozem do domu, tłum równie wznosił okrzyki na cześć jego.

Zbrojne napady na pociągi.

Nie tak dawno jeszcze pożeraliśmy wszyscy, pod szkolną ławę kryjąc książki na lekcyi, pełne grozy opisy z życia bandytów w wielkim stylu. Mniejsza o to, gdzie się rzecz działa, na dzikich preryach amerykańskich, czy pod skwarnem niebem Afryki; dość, że zawsze tak od nas daleko, iż najbujniejsza wyobraźnia nie mogła sobie przedstawić scen podobnych w naszych warunkach życia cywilizowanego w środku Europy. Dzisiaj studentom, żądnym dawniej lektury sensacyjnych opowieści o bandytach włoskich lub rozbójnikach na odległych lądach egzotycznych, wystarcza w zupełności codzienna kronika życia Warszawy i Królestwa Polskiego. A nam, cośmy z uśmiechem pobłażliwości wspominali z lat szkolnych ulubioną lekturę a la Rinaldini, przyszło dziś regestrować z dnia na dzień jako prawdziwe zdarzenia współczesne, rzeczy zupełnie podobne do wytworów najbujniejszej imaginacyi pisarzy specyalnych powieści sensacyjnych — z tą różnicą, że się to dzieje istotnie u nas, w Polsce. Każdy dzień przynosi z Królestwa coś tak niesłychanego i nieprawdopodobnego, a jednak prawdziwego, jak owe zuchwałe napady zbrojne na pociągi w ubiegłym tygodniu. W poprzednim numerze zillustrowaliśmy pierwszy z nich. Dziś podajemy rycinę jednego z następnych, który zdarzył się wśród takich okoliczności:

Podróżni, jadący w sobotę rannym pociągiem z Herbów do Częstochowy, zauważyli na stacyi Gnaszyn grupę, około 10 ludzi, którzy wsiedli do wagonu. Po przebyciu 1 wiorsty, jeden z przybyłych przeszedł się po wagonie III klasy, którym jechał kasyer komory herbskiej, Dominienko, z dwu nadzorcami i 4 uzbrojonymi żołnierzami straży pogranicznej, wioząc do Banku państwa 9.000 rubli gotówką i 42.000 rubli w przekazach.

W wagonie zupełnie było spokojnie, podróżni rozmawiali pomiędzy sobą, gdy nagle ów przybysz zbliżył się do jednego z żołnierzy, przyłożył mu rewolwer do głowy i położył trupem na miejscu. Tę właśnie chwilę przedstawia nasza rycina.

Strzał ten był hasłem, bo w tej chwili weszło około 6 ludzi i krzyknąwszy: „Nie ruszać się z miejsca!“ — strzelili do żołnierzy, nadzorców i kasyera. Dwóch żołnierzy złożyło się do strzału i położyli trupem jednego z napastników.

Strzelanina była straszna, dano ze 150 strzałów, któremi zabito Deminienkę, nadzorcę Kisielewa i 3 żołnierzy, czwartego zaś tak ciężko raniono, że wkrótce zmarł. Podczas strzelaniny straż napastników, stojąca u drzwi wagonów na gankach, zepchnęła konduktora, który wywichnął nogę i oficyalistę kolei, jadącego do doktora.

W sąsiednim wagonie I i II klasy jechali powracający z Herbów z rewizyi generał Westenring, naczelnik okręgowy straży pogranicznej z Warszawy i generał Zukato, dowódca brygady częstochowskiej straży pogranicznej, pułkownik straży pogranicznej Brzezicki, oraz rotmistrz dragonów Henryk Łaguna.

Na krzyk i odgłos strzałów, generał Zukato zakomenderował: „Napad! Do szabel!“ Sam wybiegł na ganek wagonu z rewolwerem w ręku i zdążył strzelić i ranić jednego z napastników w piersi, lecz w tejże chwili sam padł trupem, otrzymawszy kulę w głowę i twarz.

Za generałem Zukatą szedł generał Westenring i też padł trupem, otrzymawszy kulę w głowę. Pułkownik Brzezicki i sztabs-rotmistrz Łaguna chcieli Zukatę wciągnąć do wagonu, lecz w tej chwili padły nowe strzały, które raniły pułkownika Brzezickiego.

Napastnicy zdjęli zabitemu Kisielewowi skórzany worek z gotówką, zabrali 4 karabiny po zabitych żołnierzach i wyskoczyli z pociągu, któ-



Rehabilitacya Dreyfusa: Po uroczystości wojskowej, Alfred Dreyfus całuje swoją żonę.



Rehabilitacya Dreyfusa: Młody Piotr Dreyfus, syn Alfreda.

ry doszedł do stacyi Stradom, skąd telefonowano o zajściu do miasta i wezwano wojsko.

Następnie pociąg doszedł do stacyi Częstochowa, gdzie trupy przeniesiono do sali klasy III. i ułożono na ławkach i na podłodze.

Zjechały władze i rozpoczęły śledztwo. Przy zabitym napastniku znaleziono rewolwer, a przy drugim, ranionym, naboje. Ten ostatni odmówił wszelkich zeznań i wkrótce umarł.

Dragoni i straż pograniczna w dużej liczbie rozjechali się po okolicy. Granicę zamknięto, nikogo z kraju nie wypuszczając tamtędy.

Z Krakowa do Warszawy łodzią.

Do Warszawy przybyli łodzią czterej słuchacze szkoły rolniczej w Czernichowie, pp. Adam Górski, Józef Zyskowski, Józef Grodecki i Adam Lewicki. Dzielna ta czwórka młodzieńców odbyła całą drogę Wisłą z Krakowa do Warszawy na zwykłej krypce świerkowej. Podróż trwała 6 dni, dzięki dużemu prądowi. Wyprawa odbyła się w warunkach tem niebezpieczniejszych, że było to w czasie największego przyboru Wisły.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie.

W ciągu ubiegłego tygodnia, usłyszeli melomani krakowscy „Trawiatę", „Straszny dwór", tudzież dwukrotnie prześliczną „Aidę" z p. Gembarzewską, gwiazdą „krakowskiego sezonu", w partyi tytułowej. Radamesa śpiewał młody, obiecujący, a utalentowany śpiewak p. Muszyński. Doskonały i doświadczony artysta p. Ludwig zarówno jako dziki król Etyopów Amonasro, jak niemniej jako „osiwiały ojciec" w „Trawiacie", a szczególnie jako niedościgniony, pod względem śpiewackim, Maciej ze „Strasznego dworu", zbierał zasłużone oklaski. P. Ludwig jest śpiewakiem wybornym, rozporządzającym pięknym barytonem o nader miłym dźwięku — a przytem artystą myślącym poważnie a czującym szczerze. W partyi Jadwigi („Straszny dwór" Moniuszki) wystąpiła p. Markówna (podobiznę jej podajemy w dzisiejszym numerze), młoda, wysoce utalentowana śpiewaczka, stawiająca pierwsze kroki na scenie. Już występ jej w „Opowieściach Hofmanna", tudzież artystycznie oddany śpiew za sceną w „Aidzie", zwrócił uwagę bywalców operowych na jej piękny altowy o bardzo miłym dźwięku, głos, w którym przebija się wybitna muzykalność i nerw prawdziwie śpiewacki. Młoda śpiewaczka ujęła audytoryum nie tylko zaletami czysto śpiewaczej natury, lecz także zachowaniem się pełnem wdzięku, tudzież, spokojną w ruchach, grą sceniczną. Partyę Hanny w „Strasznym dworze" śpiewała nader muzykalnie i świeżo p. Mokrzycka. Na zaszczytne wymienienie zasłużyła nieoceniona p. Kasprowiczowa, zarówno doskonała jako Amneris („Aida"), jakoteż stylowa i



Z Krakowa do Warszawy łodzią: Słuchacze szkoły rolniczej w Czernichowie: Adam Górski, Józef Zyskowski, Józef Grodecki i Adam Lewicki, którzy na zwykłej łódce odbyli podróż Wisłą z Krakowa do Warszawy w czasie największego przyboru wody.



Zbrojne napady na pociągi: Na drodze z Herbów do Częstochowy napad zbrojny na pociąg, wiozący wśród podróżnych kasyera komory herbskiej z pieniędzmi do Banku państwa pod eskortą wojskową: pierwsza chwila napadu, gdy jeden z napastników strzałem śmiertelnym do żołnierza, daje hasło wspólnikom.

poprawna w każdym celu Stryjenka („Straszny dwór“). W partyi tytułowej „Traviaty“ dała się poznać p. Irena d'Albert, ujmując tak piękną aparycyą, jak i kunsztem śpiewackim słuchaczy.

Wesołą muzę reprezentowało wznowienie na-



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: P. Markówna.

der melodyjnej operetki Millöckera „Wice-admirał“, tudzież „Lysistrata“ Lincke'go. W pierwszej operetce, która pod batutą p. Słomkowskiego poszła bardzo składnie, debiutował z dużem powodzeniem p. Julian Maszyński. wykazując wiele zalet pasujących go na dobrego w przyszłości komika i w ogóle artystę operetkowego.

Ogólną uwagę zwrócił rezolutną grą, pełną werwy i zacięcia, młody śpiewak p. Miłosza, (podobiznę jego zamieszczamy w numerze); o ile z dotychczasowych początków wnosić można, będzie obiecujący śpiewak dobrym nabytkiem dla sceny lwowskiej. Po pozbyciu się tremy, którą zgrabnie pokrywa werwą, po odbyciu studyów wokalnych, stanie się p. Miłosza niewątpliwie jedną z najwybitniejszych sił lwowskiej operetki. Tego młodemu artyście szczerze życzymy. Piękniejszą połowę operetki w osobach nadobnych pań: Miłowskiej, Łopatyńskiej, Brzeskiej, Brzozowskiej — powiększyła w charakterze śpiewaczki, ulubienica publiczności krakowskiej, znakomita prima-balerina opery panna Staszko, obejmując partyę markietanki w „Lysistracie“. Była to miła niespodzianka dla krakowskich operetkowiczów tembardziej, że p. Staszko włada miłym głosikiem równo, gładko, świeżo i dyskretnie. Że p. Staszko jest uosobieniem wdzięku scenicznego, dodawać byłoby zbytecznem. — *urs.* —

Otwarcie grobu Karola Wielkiego.

W prastarej katedrze w Akwisgranie otwarty został w ubiegłym tygodniu w obecności władz kościelnych oraz komisyi, złożonej z uczonych i artystów, sarkofag potężnego władcy Niemiec Karola Wielkiego. Stało się to na życzenie cesarza Wilhelma, a za zezwoleniem arcybiskupa kolońskiego, kardynała Fischera.

Otwarcie sarkofagu stoi w związku z dziełem, nad którem pracuje grono uczonych, a które nosi tytuł „Zbiór tkanin w królewskiem muzeum przemysłu artystycznego“. Chodziło zatem o stwierdzenie rodzaju tkanin, jakie okrywają śmiertelne szczątki Karola Wielkiego. O istnieniu tych tkanin wiedziano od roku 1834, kiedy otwarty został sarkofag dla uzyskania bliższych szczegółów o tych szczątkach śmiertelnych wielkiego cesarza.

Grobowiec Karola Wielkiego otwierany był już kilkakrotnie. Pierwszy raz w r. 1000; wówczas kazał go otworzyć cesarz Otton III i zeszedł do krypty. Znaleziono Karola siedzącego na tronie marmurowym, postać jego okrywał płaszcz cesarski. u boku wisiał miecz, na kolanach spoczywała Biblia. Minęło lat 150 z górą i grobowiec otwarto ponownie — Fryderyk Barbarosa chciał, aby wielki poprzednik jego został kanonizowany, a dla lepszego przechowania szczątków śmiertelnych Karola Wielkiego, kazał Fryderyk, dnia 27 lipca r. 1165, złożyć je do skrzyni srebrnej, którą umieszczono na ołtarzu. Tylko głowę i jedną nogę, stosownie do zwyczaju ówczesnego, przechowywano w zakrystyi i przez setki lat pokazywano publiczności. Z biegiem lat zapomniano, że w owej kunsztownej srebrnej skrzyni spoczywają śmiertelne szczątki cesarza i rozpowszechniło się mniemanie, że to relikwie św. Leonarda. Prawda wyszła znów na jaw w r. 1843. Czaszka Karola Wielkiego i dzisiaj nie spoczywa wraz z resztą jego szczątków śmiertelnych. Umieszczona jest w głowie jego popiersia, znajdującego się również w katedre akwizgrańskiej.

Po otwarciu sarkofagu srebrnego i wewnętrznej trumny cynkowej, wydobyto dwie złożone tam kosztowne tkaniny — relikwie znaleziono w całości, a obok nich dokumenty z r. 1481, 1483 i 1861. Obie tkaniny są z jedwabiu — jedna jest roboty bizantyjskiej i pochodzi z X wieku, druga jest pochodzenia sycylijskiego i zrobiona została prawdopodobnie w Palermo między XII a XIII wiekiem. Na całunie bizantyjskim uderza wśród ornamentów słoń w bogatej uprzęży, a całun ten utkany został prawdopodobnie w ówczesnym cesarskim instytucie tkackim w Bizancyi. Na całunie drugim, pochodzenia sycylijskiego, widnieją wśród fantastycznej ornamentacyi wetkane ptaki i zwierzęta, do zająców podobne. — Dzięki temu, że obie tkaniny były w podwójnej skrzyni hermentycznie zamknięte, zachowały się doskonale i zdumiewają świeżością barw. Będą one przewiezione do Berlina, tam odfotografowane i wystawione na widok publiczny.

Zatonięcie promu z 60 osobami.

W ubiegłą niedzielę, d. 29 b. m., z powodu odpustu, przybyło do Wilanowa z Warszawy, Mokotowa, Czerniakowa oraz wsi okolicznych kilkanaście tysięcy ludzi Po nabożeństwie tłumy z kościoła rozpierzchły się po uroczym parku Wilanowskim, który właściciele, hr. Braniccy, zwyczajem przyjętym od lat dawnych, otwierają gościnnie na przyjęcie odpustowiczów. Po zwiedzeniu parku — część ludzi chciała przeprawić się przez łachę, do Marysinka, nie było jednak na czem, gdyż administracya dóbr wilanowskich, obawiając się jakiego wypadku, prom uprzednio poleciła odprowadzić na środek łachy. Pomimo to kilku pomysłowych wyrostków udało się łodzią na środek łachy i prom do brzegu sprowadziło. Zaczęto siadać. Prom mieści normalnie 25—30 osób; gdy więc ta liczba osób znalazła się na promie — dozorca promu, tak zwany „kapitan“, jął ostrzegać, ażeby więcej nie wsiadało, gdyż może być wypadek. Ale ostrzeżenia pozostały płonne. Na prom natłoczyło się około 70 osób, które odbiły od brzegu i rozpoczęły przeciągać się na brzeg przeciwny. Gdy prom znalazł się na środku łachy — woda dosięgła burtnic i statek zaczął się wolno pogrążać w topieli. Wśród jadących wynikła z tego powodu niesłychana panika i wszyscy rzucili się na 2 ławki,



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: P. Miłosza.

znajdujące się wzdłuż promu. To przyspieszyło jeszcze katastrofę. Prom, nierównomiernie obciążony, jednym bokiem gwałtownie zanurzył się w wodzie, zatapiając ze sobą wszystkich, znajdujących się na nim. Okrzyk zgrozy wyrwał się na ten widok z tysięcy ust, ludzi stojących na brzegu. Zaczęto biegać w różne strony, wzywając ratunku. Ten jednak był utrudniony. Prąd uniósł



Otwarcie grobu Karola Wielkiego: Sarkofag Karola Wielkiego w katedrze w Akwizgranie: srebrna skrzynia, kryjąca szczątki śmiertelne potężnego władcy świata.



Otwarcie grobu Karola Wielkiego: Płaskorzeźba na grobowcu Karola Wielkiego, przedstawiająca ofiarowanie mu katedry akwizgrańskiej.

prawie wszystkich, którzy wpadli do wody, tak, że tylko kilka osób zdołało uchwycić się liny od promu i, przy jej pomocy, utrzymywać się na powierzchni. Kilku jeszcze, lepszych pływaków, dopłynęło do brzegu, reszta — zginęła w nurtach łachy, której głębokość w tem miejscu wynosi 4 metry, a nieco niżej dosięga 9 ciu.

Dopomagał w ratowaniu jakiś huzar grodzieński: udało mu się wydobyć ciała dwóch chłopców. Ciała te poddano na brzegu bujaniu na prześcieradłach — bezskutecznie jednak. W chwilę potem siecią wydobyto zwłoki młodej kobiety, lat dwudziestu kilku, potem dziewczynki, lat około dziesięciu, wreszcie kilkunastoletniej panny. Przy wydobywaniu zwłok — na brzegu rozgrywały się rozdzierające sceny, gdy rodzice poznawali w topielcach dzieci, bracia — siostry. Bohatersko przy ratowaniu odznaczyła się 9 cioletnia Franciszka Kaźmierska, która, umiejąc doskonale pływać, nie tylko sama się wyratowała, ale nadto wyciągła również na brzeg jakiegoś dorosłego mężczyznę. Zmoczone dziecko rozebrano i przeniesiono do jednego z mieszkań dworskich dla ogrzania i osuszenia. Gdy dziewczynka przyszła do siebie — nie było jej w co nawet ubrać, gdyż jakiś łotr ukradł jej ubranie. Przy ratowaniu topielców czynni byli również doktorzy Monsiorski i Stroynowski, wioślarze, którzy na wieść o katastrofie, z Wisły zajechali łachą do Wilanowa. Ogółem wydobyto z wody zwłoki pięciu topielców; kilkanaście osób udało się wyratować; pozostałe poniosły śmierć w nurtach łachy. Ile ich jest — na razie dokładnie obliczyć niepodobna.



Specyalnie dla „Nowości Illustr.“ fot. Nemo.

Zatonięcie promu z 60 ludźmi: Katastrofa w Wilanowie pod Warszawą w niedzielę po odpuście; zatonięcie 60 osób przeprawiających się promem przez łachę wiślaną z parku wilanowskiego do Marysinka: pierwsze ofiary, wydobyte z wody.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał **Bronisław Mazowiecki.**

17 (Ciąg dalszy).

Ale pani przerwała jej pytaniem:

— A czy Moszko jest tu jeszcze?

— Siedzi w kuchni, proszę pani — i grzeje się przy piecu...

— Zawołaj go tutaj, Magdusiu...

Za chwilę wszedł faktor do jej pokoju, a dziedziczka nakazawszy Magdzie co prędzej przynieść sobie do łóżka gorącego mleka, gdyż ciągle jeszcze drżała z zimna, przywołała Moszka bliżej i po wyjściu służącej, wdała się z nim w rozmowę, którą starała się umyślnie prowadzić szeptem cichym.

Propozycya, jaką dziedziczka zrobiła faktorowi, wydawała jej się tak łatwą do przeprowadzenia, że ani na chwilę nie przypuszczała ona, by mogła natrafić na jakie trudności, skoro już los tak szczęśliwie sprowadził zaraz pierwszego dnia na folwark wszędobylskiego żydka.

Tymczasem od razu faktor odmówił.

O cóż szło? Prosiła go o bagatelkę, na której nie tylko nie mógł stracić, ale jeszcze dobrze zarobić...

Dziedziczka bała się pozostać na folwarku w sąsiedztwie i towarzystwie księdza-waryata.

Z poprzedniego pobytu swego na tem wygnaniu pamiętała, że mąż wydał tu pod każdym względem tak ścisłe polecenia, iż nie byłby jej nikt dopomógł do ucieczki z tego więzienia.

Ludzie się bali poprostu, skoro im raz dziedzic zakazał. Każdemu powiedziano, że pani nie wolno opuszczać folwarku pod żadnym pozorem, pod żadnym warunkiem.

Dawniej uciekać ona nie zamierzała ani razu jeszcze, ponieważ nie miała dokąd udać się, znajdując się zresztą materyalnie w tem położeniu, że dosłownie była sama bez grosza i nie rozporządzała ani fenigiem.

Dziś przyjechała tu wprawdzie tak samo bez pieniędzy, jednakowoż stosunki zmieniły się już o tyle, że miała teraz dokąd się schronić.

Ale pieszo nie pójdzie tyle mil do Chocimskich. Jechać zaś nienia czem...

Nikt na folwarku nie da jej koni. To samo w okolicy. Każdy boi się dziedzica...

Trafia się zatem jedyna okazya szczęśliwa: użyć w tym celu żyda-faktora.

Proponowała mu, żeby wystarał się jej o konie do Chocimskich, za co ona mu sowicie zapłaci.

— Ale kiedy, proszę jaśnie pani dziedziczki? Kiedy?

— Zaraz na miejscu u Chocimskich...

— A jeżeli oni nie zechcą zapłacić, nu, co wtedy będzie?

— Nie oni zapłacą, tylko ja sama.

— Nu, to niech mnie jasna dziedziczka zapłaci naprzód moje pieniądze... Przecie ja muszę wydatkować sam zaraz, mnie nikt nie będzie na pieniądze czekał...

— Tłómaczę ci, że możesz za mnie spokojnie wydać naprzód, a ja ci z procentem grubym zwrócę na miejscu.

— Ja rozumiem przecież, ja sam wiem, że jasna pani nie chciałaby pokrzywdzić biednego żydka... Ale ja też wiem, że pani może nie mieć...

— Człowieku, czyż tu idzie o majątek... Taka bagatela i nie mógłbyś na nią czekać przez parę godzin.

— Czekać, czekać... przepraszam jaśnie dziedziczkę... ale pani także poczekać może sobie na folwarku, a jak będą pieniądze, to sobie jasna pani każe zaprzęgać i pojedzie...

Aż poruszyła się na łóżku pani Edwardowa, słysząc te słowa. Byłaby najchętniej za drzwi w tej chwili wyrzuciła aroganckiego faktora. A jednak musiała pozwolić ubliżać sobie, byle znaleźć sposób ucieczki.

— Więc nie chcesz zarobić sobie — spytała, siląc się mimo wszystko na spokój.

— Czemu ja bym nie chciał... Zarobić to ja zawsze potrzebuję, z czego by ja żył z moją żoną, albo cobym ja dał swoim dzieciom jeść... Nu, ale co ja mogę na takim kiepskim interesie zarobić?... co to jest warte zachodu? Po co ja potrzebuję zadzierać z takim dobrym panem, jak nasz dziedzic... Co ja mam pani powiedzieć, kiedy jasna pani jeszcze lepiej ode mnie wie, jak jest z tym interesem...

Zagryzła wargi, lecz mu nic na to nie odpowiedziała. A żyd kręcąc się i skrobiąc w brodę, mówił dalej:

— Nu, co ja temu winien... Ja mam ciągle różne interesa z jasnym panem dziedzicem i z jego siostrą robię także różne interesa...

— Z jego siostrą — powtórzyła sobie w myśli pani Edwardowa.

— Niech pani tak sama powie, czy ja mogę narażać się na takie nieprzyjemności... Jabym potem wszystko stracił, a od jasnej pani, tobym zarobił za ten interes wszystkiego nieduże parę fenigów, moja pani.

— A czy to we dworze o tem muszą wiedzieć — spytała go nagle — że to akuratnie tyś mnie dopomógł... Postarasz się o furmankę dla mnie, przyślesz mi ją tutaj na folwark, ja dojadę do Chocimskich, a ty jadąc tamtędy koło nich, wstąpisz odebrać sobie pieniądze. Zapłacę ci trzy razy tyle, co będzie kosztowała furmanka.

Żyd zaczął się kiwać i przestał mówić. To się jej wydało dobrym znakiem, więc zaczęła nalegać na niego.

— Bądź spokojny, ja tam będę miała dość pieniędzy... Tam już są przygotowane dla mnie pieniądze moje, Teklunia już mi je tam zostawiła...

Faktor się namyślał.

— Przyślesz mi dziś konie?

— Aj... aj... czemu pani się tak śpieszy?

— Dziś chciałabym koniecznie na noc być już u Chocimskich....

— To nie może być.

— Kiedy nie chcę tu spać ani jednej nocy...

— Boi się jasna pani tego miszygiene... Przecie można się na noc na klucz zamknąć przed nim, to on nic nie zrobi złego...

Targ w targ, zgodził się faktor przysłać następnego dnia przed zachodem słońca dopiero bryczkę, któraby miała zawieść dziedziczkę do domu Chocimskich.

Ale zanim żyd dał stanowczą odpowiedź, dostał do rąk od pani Edwardowej dwa srebrne świeczniki z jej toalety.

Zrozpaczona kobieta, innej rady nie widząc, musiała na to przystać.

Faktor opuścił folwark.

Pani Edwardowa zaś przez cały dzień ze swego pokoju nie wychodziła ani na chwilę.

Bez przerwy słyszała księdza Jana, jęczącego głośno. Były chwile, kiedy wybuchał płaczem spazmatycznym. To znowu mruczał monotonnie modlitwy, potem słowa przechodziły już w krzyki lub jęki i nie milkły całemi godzinami do samego wieczora.

Uspokoił się o zmierzchu.

Od służącej dowiedziała się, że dopiero teraz, gdy zmrok napełnił pokój, ksiądz wstał z łóżka i przyodziawszy się nieco, zaczął chodzić miarowym krokiem po mieszkaniu, stukając głucho butami po podłodze, wśród ciszy, dokoła panującej w domu.

Ten odgłos kroków waryata, w milczeniu biegającego wśród czterech ścian, jak zamknięty niedźwiedź w klatce — napełnił duszę i tak zdenerwowanej do najwyższego stopnia kobiety, trwogą większą, niżeli wprzódy jego krzyki.

Wcisnęła głowę między poduszki, byle tych kroków nie słyszeć.

Znużona wreszcie zasnęła.

Kiedy się obudziła, było już dawno po północy. Ciemność i cisza zalegały pokój. Od księdza Jana nie dochodziły teraz żadne odgłosy. Musiał widocznie spać...

To jej jednak nie uspokoiło. Czuła się wprawdzie wielce osłabiona i chętnie byłaby się na dobre położyła do łóżka, ale obawiała się rozebrać. Więc podeszła cicho do drzwi swoich, spróbowała i przekonawszy się, że są dobrze zamknięte, usiadła w rogu łóżka w ubraniu i szalem okryta.

Tak czuwała w dalszym ciągu, obiecując sobie przespać się dopiero za dnia białego, gdy ludzie będą chodzili po domu i będzie się czuła bezpieczniejszą.

Minęło tak parę godzin, gdy naraz coś stuknęło w okno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

I.

Pierwsza-druga — to w rodzinie,
Ma szacunek i znaczenie.
Wspak *trzecia druga*, to niestała
Niejednego oszukała.
Trzecia sama w wodzie żyje
I na samym dnie się kryje.
Całość sama już wam znana,
Nieraz przez was spożywana.
Bo chociaż ma kształt korzenia,
Nadaje się do smażenia.

II.

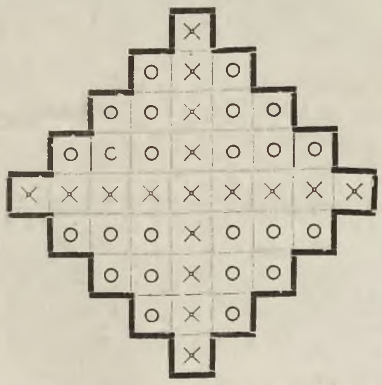
Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Pierwsza-druga,
Toż to buda;
Dodajcie i *trzecie*,
A miasto znajdziecie.

Kryptogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.

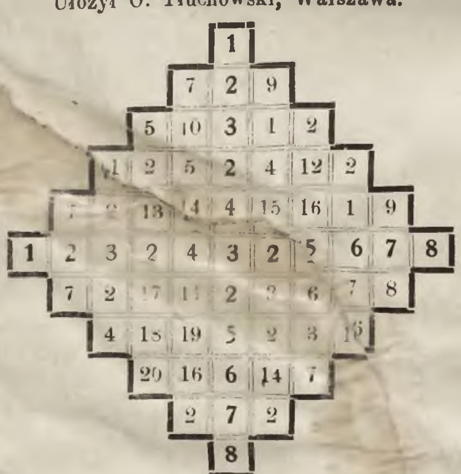
Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły nazwisko byłego premiera gabinetu rosyjskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Nazwa duchownego prawosławnego. 3. Rzeka na Rusi Czerwonej. 4. Artystka operetki warszawskiej. 5 ? 7. Inaczej prośba. 7 Bohater z „Pana Tadeusza“ Rosyanin. 8. Zwierzę, znane z chytrości. 9. Spółgłoska.

Arytmogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.



W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły nazwisko jednego z byłych posłów miasta Warszawy do Dumy.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3. Miasto na Wołyniu. 4. Miasto, znane z zawarcia w nim Unii polsko-litewskiej. 5. Inaczej aktor, grający komiczną rolę. 6 ? 7. Pisarz polski z XVIII wieku 8. Miasto górnicze w Królestwie Polskiem. 9. Pamiętnikarz polski z XVII w. 10. Organ widzenia. 11. Samogłoska.

Zagadka trójkątowa.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Kwadraty i kółka zastąpic literami w ten sposób, żeby kwadraty, czytane w prostym kierunku i z góry i na dół, utworzyły nazwisko znakomitego powieściopisarza, niedawno zmarłego w Galicyi.

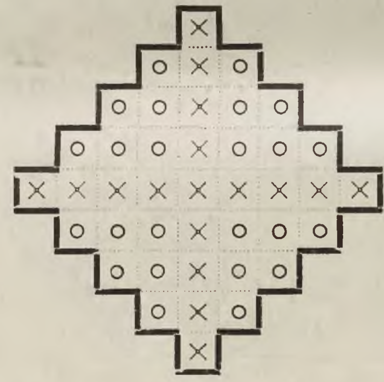


Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko znakomitego powieściopisarza polskiego. 2. Żona cesarzewicza. 3. Tytuł jednej z powieści obyczajowych Kraszewskiego. 4 Znakomity, z:ryźliwy satyryk polski i twórca popularnych niemieckich operetek. 5. Powieściopisarka polska 6. Wysoki dygnitarz rosyjski. 7. Inaczej lekko chorzy. 8. Zakonnica ze zgromadzenia Szarytek. 9. Mieszkaniec północy. 10. Mieszkańcy Karpat wschodnich. 11. Zwierzęta leśne. 12 Stolica Galicyi. 13. Zaimek osobisty w liczbie mnogiej. 14. Wspak zaimek wskazujący w liczbie mnogiej. 15. Spółgłoska.

Kryptogram.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, żeby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku dały nazwisko słynnego malarza, którego trzechsetną rocznicę wszędzie teraz obchodzą.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Król zwierząt. 3. Owad dokuczający w lecie ludziom i zwierzętom. 4. Imię żeńskie. 5. ?. 6. Trucizna używana na zęby. 7 Państwo w Afryce. 8. Imię żeńskie. 9. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.

Z następujących zgłosek: a, ba, bo, by, ce, cznik, da, e, ho, ki, kran, kun, li, liz, lo, men, na, ni, niec, no, o, os, per, ra, ro, sa, siem, sza, te, tep, u, wan, welt, wi — ułożyć 12 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim jednego z najznakomitszych naszych powieściopisarzy, zaś litery końcowe, czytane w tym samym kierunku, tytuł jednego z jego dzieł.

Znaczenie wyrazów: Miasto na Litwie. 2. Liczba. 3. Stolica Portugalii. 4. Sprzęt domowy. 5. Miejsce obwarowane. 6. Miasto w Grecyi, słynne w historyi. 7. Imię kilku Faraonów egipskich. 8. Imię żeńskie. 9. Bóg starożytnych Litwinów. 10 Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej 11. Chłopiec wałęsający się po ulicy. 12. Miasto w Macedonii.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę wspaniałą bombonierkę czekoladek z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 29.

Szarada.

Akacya.

Logogryf.

Rodowó**d**, **o**dzieni**e**, **D**ybó**w**. **Z**osi**a**, **i**-**j**, **E**gip**t**, **W**itwick**i**, **i**'ocza**s**, **c**zase**m**, **ż**ab**a**, **ó**w — mino**g**, **w**etera**n**, **n**iepogod**a**, **a**dwoka**t**.

Rodziewiczówna — Dewajtis, Magnat.

Łamigłówka.

Podane wyrazy należało ustawić w następującym porządku:

Sa**h**ara, **t**r**e**ma, **E**r**n**est, **f**a**r**sa, **a**s**y**sta, **n**e**k**tar, **B**a**wa**rya, **a**la**b**aster, **t**e**l**eskop, **o**p**e**ra, **r**o**z**dział, **y**ps**y**lon.

Stefan Batory — Henryk Walezy.

ZAGADKA.

Jajk**o**, **a**łsi**w**, **r**ącz**y**, **m**oty**w**, **a**kcy**e**, **r**ube**l**, **k**one**w**, **k**ors**o**, **r**ęka**w**, **a**lib**i**, **J**ojn**e**.

Jarmark krajowy we Lwowie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: H. Mokrzycka Turbia, T. Domain Sanok, M. Pfeiffer Przemyśl, J. Jankiewicz Zameczek, M. Cellerin Bukowsko, K. Jankowski Warszawa, M. Niemira Warszawa, K. Fuchs Perzeniżyn, K. Witkowska Przeworsk, M. Arbesbauer Lwów, Abonent z Dług, B. Ramułtowa Jeżów, K. Wojdyłło Radymno, A. Boratyński Budzanów, A. Fink Komorniki, K. Z. i S. Hordyńskie Rata, S. Amaraut Tarnopol, T. Kośmider Nowy Sącz, K. Ludwig Borysław, J. Swiętnicki Borysław, K. Bobek Zakopane, J. Wesoła Zakopane, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Kulczyńska Zakopane, L. Rączkowski Siary, St. Nidjol Kraków, Fr. Oborniak Budapeszt, Fr. Janicki Łazy, M. Bartelmusowa Lwów, J. Wodziczkówna Germakówka, Z. Ciechanowska Stary Sambor, H. Leligdowicz Fraga, J. Ramoszyńska Borysław, H. Ulrych Malin, T. Wasiewiczowa Baranów, O. Paszkowska Fiume, Wł. Kisielewski Stryj, H. Zielińska Manajów, St. Gajdeczka Sieniawa, Kasyno Niżniów, W. Radwańska Lwów, Al. Bocsoń Bóbrka, M. Kuzia Wadowice, A. Surowiecki Kraków, J. T. Flara Uhnów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, dr. St. Warmski Turka, M. Cetera Dubiecko, E. Füllerówna Rzeszów, M Małaczyński Pikułowice, Fr. Kalita Gawłuszowice, K. Jurkiewicz Tłumacz, A. St. Bassara Niwiska, J. Haładej Górki, K. Chodkiewicz Zbydniów, dr. J. Kasparek Lwów, B. Rudkowska Lwów, M. Kalinowski Warszawa, M. Opolska Lwów, Fr. Angielczykowski Lubaczów, K. Jurkiewicz Tłumacz, A. Batko Lwów, St. Łaszkiewicz Dębica, M. Rożański Gorlice, W. Wierośski Kraków, St. Smaczkowa Jasło, J. Biegoń Sucha, W. Stanula Ołpiny, J. Badura Rożdzień, T. Musiał Przybysławice, Z. Bogdański Miko.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **T. Musiał w Przybysławicach** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Od Redakcyi.

Do Nr. 29 naszego pisma zakradła się pomyłka. Mianowicie w artykule: „Nowy nadprokurator państwa“, nazwano mylnie p. Stetkiewicza kierownikiem zakładu p. Bahrynowicza we Lwowie. P. Stetkiewicz mianowicie jest wspólnikiem zakładu.

Kącik humorystyczny.

Jasna odpowiedź.

Pani: Słuchajcie Marcinowo, przychodziła tu służąca od pani Jasińskiej skarżyć się na was, żeście od niej jakiś garnek pożyczyli i nie chcecie oddać...

Kucharka: Naprzód, proszę pani, Karolka mi żadnego garnka nie pożyczała, potem ten garnek, com sobie od niej wzięła, nie był cały, miał w środku dziurę, a zresztą ja jej już ten garnek oddałam...

Ułomna.

— Panie Feinschütz, przepraszam pana, czy przypadkiem pańska żona nie jest trochę ułomna?...

— Ale gdzie tam, to się panu tylko tak wydaje, ona w tej chwili, co pan ją widzi, musi mieć bardzo dużo pieniędzy w kieszeni...

Lekcya zoologii.

Nauczyciel: Dobrze, więc pies jest dla człowieka przyjacielem i stróżem... A powiedz mi teraz, jaki pożytek mamy z kota?

Uczeń (syn restauratora): W pewnych wypadkach może zastąpić zająca...

Cichy wspólnik.

— Józefie — woła pan na swego lokaja — pamiętasz tego Goldsteina, co mi to ostatnim razem sprzedawał szwarcowane cygara... Wyrzuć go za drzwi, jak przyjdzie drugim razem. Cygara były obrzydliwe...

— I ja to sobie już myślałem — odpowiada lokaj.

NADESŁANE.